Rok I. Listopad 1916. Nr. 9.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata za jedno półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa — na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Rok I. Listopad 1916 r. Nr. 9.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

Przemiany.

Między znanemi i oklepanemi poniekąd „prawdami“ poczesne miejsce znajduje i ta, że człowiek uczy się przez całe życie — i że najwięksi nawet geniusze nigdy nie posiędą odrazu wszelkich rozumów. Szczególnie w czasach dzisiejszym podobnych, gdy na wyobraźnię i umysł tak żywo oddziaływają rozgrywające się wypadki, prawda o wiecznej nauce występuje bardzo wybitnie. Uczą się i zdobywają wiedzę nieomal wszyscy. Co było kiedyś dostępne dla nielicznej stosunkowo garstki wybranych, to dzisiaj wdraża się łatwo w umysły ogółu i przynosi wiele uświadomienia. Życie, to życie szerokie i bujne, przewalające się swoim tytanicznym ogromem przez świat, uczy nierównie więcej niż przedtem całe tuziny książek, bibliotek i wogóle drukowanego i żywego słowa. Życie i walka gaszą tak ludzi jak i idee, i znowu rodzą na płodnej dziś niwie setki nowych istnień materyalnych i moralnych. Skromny wczoraj jeszcze zjadacz chleba, który gdyby nie wojna, nie wyszedłby zapewne z zamkniętego koła działań i myśli, wśród jakich było mu wygodnie i swojsko, który przyzwyczaił się do pewnego trybu, uważając go za ostateczny nieomal wyraz swojej świadomości, prędzej czy później musiał zabawić się nieco w autokrytyka, a nieraz w chwilach niebywałej odwagi poddać rewizyi swój, jak zdawało mu się dotychczas, ostateczny i skończony program życiowy. Przejawy tego procesu psychologicznego są tak powszechne i ogólne, że tyczą się wszystkich bodaj myślących i można je obserwować tak pod wiejską strzechą, jak równie do-

brze w dumnie sterczących pałacach. Coś runęło, coś zeszło niepowrotnie z tego świata, i to coś nie wróci, — świadomość, że to co będzie, będzie już czemś innem, choć nieznanem, albo u niektórych nawet ów stan podświadomy sprawiają, że zależnie od powagi, z jaką jednostki zwykły patrzeć na życie, ludzie są skłonni coraz ostrożniej i chłodniej odnosić się do pytajników, na które nie tak dawno jeszcze umiano na pamięć niezawodne odpowiedzi.

I tu naturalnie występują między ludźmi wybitne różnice. Charakter różnic słusznie oceniać będziemy, zwracając uwagę na różnicę przygotowania i jego jakość u poszczególnych aktywnych myślowo i praktycznie. Nie trudno też przewidzieć, iż im pełniejszy charakter i wyrobienie reprezentuje jednostka, z tem większą łatwością potrafi przyswoić sobie i zanalizować nieznane wczoraj szczegóły. Wiedza, zdobyta przez umysł wprawny i do przyjęcia jej należycie przygotowany, a wiedza czerpana i chwytana przypadkowo przez zdolnego choćby ucznia, to dwie, nie te same wartości. Jeżeli np. ktoś dopiero w czasie wojny biegnąc po mapie wraz z komunikatami urzędowymi zaznajamiał się z geo- i topografią ziem polskich, to jakkolwiek, przyznamy, umiejętniejszym w tym przedmiocie będzie dzisiaj niż przed czasem nauki, cząstkowe zaledwie zdobył pole widzenia. Umiejętność swoją uzupełniłby dopiero wtedy, gdyby zły los w każdy ziemi polskiej zakątek poniósł był pożogę wojny. Taki uczeń zna więc z dotyczasowych doświadczeń zaledwie dwie czwarte ziem Rzeczypospolitej — i to dosyć pobieżnie. Galicya, do której zawitała inwazya, Królestwo kongresowe i cząstka wschodnich ziem „zabranych“, są już przecież dla niego dostępne. O nich też chętnie lubi rozprawiać. Umiejscowił sobie w umyśle kolejno Kalisz, Lwów, Kraków, Warszawę, Lublin, — już nawet o Wilno i Łuck myślą zawadził. Ale i tu granice jego świadomości. Co od tych słupów mierniczych wojny na wschód i zachód żyje czy istnieje, uchodzi dalej jego uwagi i rachunku. Możemy powiedzieć, że uczeń jest już na drodze do zdobycia wiedzy, ale nie jest jej posiadaczem. Nie będziemy też od niego wymagać, aby mógł już dzisiaj wyznać się na mapie Rzeczypospolitej. Uczeń musi się jeszcze uczyć, — w każdym zaś razie, broń go Boże, o polskiej ziemi pisać podręczniki lub zdrowych udzielać nauk. Za dobre chęci zawód i rozczarowanie mogłyby mu być nagrodą.

Co tak licznym dziś uczniom geografii przytrafić się może w dziedzinie pionowego i poziomego układu ziem polskich, to równie często zdarza się studyującym przygodnie inne umiejętności. Do nich zaliczyć trzeba znajomość społecznego życia nawarstwień ludnościowych, zamieszkujących ziemie polskie, jak również, a tyczy to w pierwszym rzędzie ludzi znajdujących się na stanowiskach kierowniczych, znajomość idei ożywiających te masy, idei wykarmionych tak tradycyą przeszłości, jak i dążeniem do doskonalszego jutra.

Jeżeli z tego punktu widzenia będziemy zliczać ogólny dorobek społeczeństwa, a miarę oceny stosować wedle usiłowań i rezultatów osiągniętych w czasie wojny, to nawet i zagorzały sceptyk przyznać musi, że nie cofamy się, lecz postępujemy. Dość będzie uprzytomnić sobie te charakterystyczne zmiany i falowania opinii, których np. Galicya była świadkiem. Wśród ciężkich wprawdzie doświadczeń, zawodów i wędrówek swej ludności, wśród grasującj zarazy bezkrytycznych opty- i pesymizmów, Galicya przeszedłszy wiele, dużo też i zyskała. Zysk główny jej stanowi poczucie realnych warunków zewnętrznych, jak i to umacniające się coraz bardziej przeświadczenie, że jest jeno częścią całości, że ta całość ma swoje słuszne prawa, a jej części obowiązuje stosunek wzajemności i podporządkowania wspólnym interesom. To górujące dzisiaj i dość powszechne poczucie przynależności do szerszego organizmu przyszło dość późno, ale nie tak znowu późno, ażeby całkiem poniewczasie. Prawda, że nie u wszystkich choćby w teoryi odpowiedzialnych, przybrało ono charakter pełny, prawda, że wyrodziło się i wyradza raczej pod wpływem zewnętrznego przymusu, a nie płynie z własnowolnego uznania i chęci, prawda, że wielu stosunek pierwszeństwa dzielnic wolałoby widzieć w odwrotnym szeregu cyfrowym. Więc też i peany radości jeszcze nie na miejscu.

Opamiętanie bowiem przyszło po tylu doświadczeniach, iż pytanie, czy korzyści nauki są w możności choć w minimalnej cząstce wynagrodzić szkody wyrządzone społeczeństwu przez improwizatorów wiedzy, zawsze znajdzie jaskrawie groźną dla przyszłości odpowiedź. Wartość względną dorywczej i niezupełnej świadomości, zyskanej jakoby przy stole operacyjnym na żywej istocie, oceniać można tylko jako zysk praktykującego. Zyski strony drugiej stają się w podobnych warunkach tylko przypadkowemi, cena

owej „wiedzy", a cena istnienia operowanego, to także wartości wręcz niewspółmiercze. Zestawiać ich wogóle nie wolno.

Ale zdając sobie sprawę z tego, co powyżej powiedziano, nie można w ogólnej, a nie *ad personam* charakterystyce, zapoznawać faktu pewnej poprawy. Szczególnie jest to obowiązkiem tych wszystkich, którzy posiadając wiarę w przyszłość, zawsze winni mieć oczy otwarte.

Autokrytyka środowisk lokalnych dała wypadkową ogólną. Zalecając ludziom tak niewygodną czasami skromność, wyżłobiła zarazem daleko większe poczucie rzeczywistości, niż to dawało się zaobserwować w przeszłych już momentach. Pominąwszy jakiś chaotyczny wiec, czy papierową rezolucyę, które oceniać wypadnie raczej pod kątem chcenia a nie możności, zasadniczej analizie uległy popularne przedtem, a mało mające treści wewnętrznej hasła. Jednem z nich, powtarzanem aż nadto, było hasło solidarności. Wywieszał je kto chciał i kiedy chciał jako motto własnych skomplikowanych projektów. Jeżeli rodacy klaskali, było dobrze, w razie ujawnienia się odmiennych zapatrywań wisiała nad oponentem gotowa klątwa, uznająca go z góry za warchoła rozbijającego jedność narodową. Fałszywie pojęte a rozpowszechnione dość szeroko mniemanie, że naród, choćby szedł po drodze pochyłej, ma iść na ślepo dalej, bo tak już losy zrządziły, bo jeśli pójdzie razem, to nawet w razie klęski nie będzie miał sobie nic do wyrzucenia, to mniemanie jako kryteryum polityczne dla działających grup i jednostek należy bodaj do przeszłości. Wbrew towarzyszącemu mu hasłu wypływało ono faktycznie ze stanowiska korzyści sfer lub grup, a nie korzyści ogólnej. Obecnie w miejsce niego zyskuje sobie prawo obywatelstwa pewnik, że sama solidarność nie może starczyć za program, a głupstwo, choćby razem dokonane, nie staje się jeszcze przez to samo mądrzejsze. Na tej właśnie drodze myślowej uległ więc rewizyi myślowej cały szereg tak zwanych „stanowisk" społeczeństwa wobec zaszłych lub spełnionych faktów. Przypomnieć wystarczy choćby walkę przebrzmiałych już dzisiaj „oryentacyi".

Jeżeli zaś stąd i zowąd słyszy się jeszcze głosy, z których wprost przeciwne poprzedniemu odbiera się wrażenie, to nie należy z tego stanu wyciągać wyłącznie ujemnych wniosków. W głosach tych bowiem uderza specyficzny charakter gorączkowości. Oto niejednego głośnego „działacza" zalewa fala, a on rozpaczli-

wymi ruchy stara się utrzymać się bodaj jak najdłużej na powierzchni, choć zdradza już nieszczęsną pewność zawodu usiłowań. Nawet w razie pomyślnej konjunktury zewnętrznej nie spełnia się jedno jego, osobiste pragnienie. Inni, mniej na pierwszy rzut oka zasłużeni, a dotyczy to tak osób jak dzielnic całych, zbierają plony. Wśród tylu i tak oślepiających blasków, w jakich kąpie się codzienność, gasną efektowne rakiety słów nieledwie z tą szybkością, z jaką zakwitły, powolna zaś i celowa czynność, choćby pozbawiona zewnętrznej dekoratywności, a może właśnie dlatego, więcej skupia uwagi i wzbudza zaufania. Cóż więc z tego, że pozory podkreślają dziś rozdwojenia i dysonanse, że nie ustaje, a przeciwnie prawie potężnieje myślowe zamieszanie, kiedy nad temi sprzecznemi myślami, kłócącemi się hasłami, góruje już ogarniające masy społeczeństwa poczucie dobrze rozumianej łączności, konieczność wspólnego bytu.

Spojrzyjmy nieco wstecz. Przed laty dwoma musiano zastrzegać się silnie przeciw roztrzyganiu za innych, bo zachodziły wypadki uzurpacyjnego przywłaszczania sobie decyzyi za całość, — dziś z nieoczekiwanego czasem źródła padają słowa uznające równoważność między dzielnicami, a znajdą się nawet i petycye do zajęcia się losem proszących. Klasycznym tego przykładem jest wytworzony w czasie wojny stosunek Galicyi i Królestwa. Uwydatniło się przytem, jak w sprawie ogólno-narodowej nietylko trzeba uznawać prawa poszczególnych części i dać im należne miejsce, ale i wprowadzić w czyn zasadę, że o losie każdej z osobna, a więc i naszej dzielnicy, tak my jak i one prawo głosu i decydowania posiadają. Dopiero bowiem wzajemny wgląd w stosunki i szczere, praktyczne uznanie wspólności stworzą tak nam potrzebną dzisiaj siłę.

Niedostatecznie przetrawione poznanie interesów całości uderzy nas jeszcze czasem odwróconą argumentacyą. Tak np. spotkał ostatnio zarzut partykularyzmu zabór pruski, więc tę dzielnicę, która w największym może stopniu umiała czynem stwierdzać łączność duchową z całością ogólną i pierwsza dała przykład realnej pomocy dla dotkniętych wojną rodaków za kordonami. Choćby w tej wykoszlawionej i kaducznej wprost formie następuje powrót pamięci, co jest bezprzecznie wypływem zewnętrznej, silniejszej nad wszelkie chore urojenia i animozye rodzącej się świadomości, że za czyny trzeba będzie odpowiadać

nietylko przed zamkniętem i ubezpieczonem kołem swojej dzielnicy. Bądź co bądź, w porównaniu z dotychczasowym stanem i tutaj można się dopatrzeć pewnego postępu. A w postępie ogólnym, który nie upoważnia jeszcze do pełnego optymizmu, widzimy i czujemy to wszyscy, zacierać się zdają wreszcie granice dzielące kiedyś sztucznie psychologię narodową na trzy indywidualizmy. Dotychczasowa anormalność wzajemnych stosunków gnie się już pod ciężarem życia, które też i ostatnie wypowie słowo o przyszłości.

K. W. Bartoszewicz.

Z dziejów zawiści angielsko-niemieckiej.

Jeszcze przed trzydziestu laty hasło *„Gott strafe England"* nie znalazłoby zupełnie echa w Niemczech. Jeszcze nie dawno, bo w r. 1900 profesor monachijskiego uniwersytetu, Erich Marcks, w odczycie wygłoszonym w Londynie wobec tamtejszej kolonii niemieckiej, zapewniał słuchaczy, że Niemcy protestanckie (Prusy) i Anglia od czasów reformacyi nie tylko nigdy z sobą nie walczyły, nie tylko kropelki krwi sobie nigdy nie utoczyły, ale nawet często (jak np. pod Waterloo) szły ręka w rękę. Jeszcze nie tak dawno rzekł Bismarck: *„Wir wären ja gern bereit, die Engländer zu lieben, aber sie wollen sich nicht von uns lieben lassen"* — a zdanie to Bismarck wyraził wobec Anglika — oczywiście tylko na to, aby w synach Albionu rozbudzić jeszcze większy afekt ku Niemcom. Nie można też powiedzieć, aby i Anglicy za czasów Bismarcka nie akcentowali także swych sympatyi pod adresem Berlina. Niedługo po wstąpieniu na tron Wilhelma II. pisał *Morning Post*, organ premiera angielskiego, Salisbury'ego:

„Ani Anglia ani Niemcy nie myślą o wojnie. Oba państwa z każdym dniem coraz to bardziej się skłaniają do tej idei, że jeśliby kto je zmusił do dobycia miecza, to powinny wówczas albo trzymać się razem w oddali albo razem rzucić się na wroga".

W koloniach stosunki między obu państwami były tak dobre, że określano je epitetem *„colonial marriage"*, a przyjaźń ta zacieśniła się jeszcze bardziej, gdy w r. 1890 (17. czerwca) Anglia w zamian za ustępstwa w Afryce wschodniej odstąpiła Niemcom wyspę Helgoland, wyspę, która była dotąd jakby „angielską pięścią boksującą, aby nie powiedzieć angielskim nosem przy niemieckiej twarzy", — wyspę, która odtąd zostanie niezmiernie ważnym posterunkiem i czatą przeciw wszelkim zakusom na wybrzeża niemieckie.

Harmonia psuć się zaczęła dopiero od chwili, gdy w r. 1895 ster spraw kolonialnych ujął w ręce Józef Chamberlain, głośny apostoł imperyalizmu angielskiego. *„Empire is commerce“* (imperyum to handel) — rzekł w r. 1896 Chamberlain i z tego punktu dostrzegł groźnego konkurenta w Niemczech. Chamberlain wpadł na to jeszcze w r. 1885 w komisyi parlamentarnej, wybranej dla zbadania „przyczyn upadku handlu“ angielskiego i przy tem odkryciu były radykał przemienił się w imperyalistę.

Na tem tle z roku na rok dyssonans między obu państwami wzrasta. Nadarmo oba dwory starają się na nowo nawiązać nić dawnej tradycyjnej przyjaźni. Nić raz wraz pęka. Tak np. kiedy w r. 1895 Wilhelm II. udał się do Anglii, aby złożyć wizytę swej babce, królowej Wiktoryi, londyński dziennik *„Standard“* ogłosił szereg ironicznych artykułów. A kiedy niebawem cesarz Wilhelm II. w słynnej depeszy (3. stycznia 1896 r.) do prezydenta Krügera stanął po stronie boerów, śród opinii angielskiej rozpętała się szalona burza gniewu i oburzenia.

Nie chodziło tu tak może o boerów, jak o konkurencyę handlową towarów niemieckich, które zaczęły wypierać angielskie, pomimo prawa, żądającego etykiety *„made in Germany“*.

W związku z tem w jesieni 1897 r. (11. października) *„Saturday Review“* podał głośny artykuł, zapewniający, że „jeśliby jutro znikły z świata Niemcy, to pozajutro nie byłoby Anglika, któryby przez to nie stał się bogatszym“, artykuł, który kulminował w żądaniu: *„Germaniam esse delendam“*.

Oliwy do ognia dolała wiadomość, że dla poparcia tego handlu urasta potężna marynarka niemiecka. Alfred v. Tirpitz świeżo (7. czerwca 1897 r.) mianowany sekretarzem stanu marynarki, przedstawił parlamentowi niemieckiemu projekt ustawy flotowej, którą też uchwalono po raz pierwszy (24. marca) 1898 r., a drugi raz (podwajając flotę) w r. 1900. Popierający budowę tej floty wojennej *„Deutscher Flottenverein“* (założony w r. 1898) przez swą dosyć głośną agitacyę drażnił dumę i budził zazdrość Albionu.

Jasnem było, że Niemcy występują już z brzegów Europy ku oceanom, że zaczynają przelewać ciasne ramy zakreślonej przez Bismarcka ściśle kontynentalnej polityki, że zaczyna się ich *„Weltpolitik“*. Po globie ziemskim wyciągały ręce po kolonie dwa przeciwne sobie imperya. Podczas gdy imperyalizm angielski i jego „żółta“ prasa *(Jingo)* podnosiła hasło „większej Brytanii“ *(Grea-*

ter Britain), równocześnie od Niemiec szła pieśń: *Sein Vaterland muss grösser sein*".

I Niemcy zapragnęły władzy na całym globie ziemskim. Pamiętne są słowa kanclerza Bülowa wypowiedziane w parlamencie (11. grudnia 1899 r.). „W razie nowego podziału ziemi Niemcy żadnej potędze nie pozwolą sobie nastąpić na nogę, ani nie dadzą się nikomu odepchnąć".

Dawna niepodzielna królowa mórz, „Wenecya" oceanów, spotkała się oko w oko z nową, coraz się wybijającą. Postanowiła bronić swej hegemonii (*naval supremacy*) do upadłego. Tu już chodziło nie tylko o handel. W Anglii dobrze pamiętano słowa Dawida Urguharta (z czasów wojny krymskiej):

„Nasze insularne położenie daje nam do wyboru albo wszechpotęgę albo nicość. Brytania albo będzie królową mórz albo ją morze pochłonie".

Świadomość tego niebezpieczeństwa przenikała masy żeglarskiego narodu, który oczy Argusa zwrócił na nowych rywali i kipiał niecierpliwością na widok coraz nowych okrętów niemieckich prujących fale oceanów. Podczas gdy sam rząd angielski, nie chcąc doprowadzić do ostateczności, nawiązywał stosunki z Berlinem i z nim się układał, burzliwa opinia publiczna psuła mu tę robotę za każdym razem, paliła mosty.

Tak kiedy sam Chamberlain w lecie 1898 zbliżył się do Niemiec i zaproponował utworzenie „pangermańskiego" sojuszu (Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone Ameryki), Niemcy odmówiły, powołując się na to, że sam rząd angielski nie może dać żadnych gwarancyi co do usposobienia swego narodu (Herre, *Weltpolitik* 1916, 45).

Szczególnie wrogo wobec Niemiec zachował się nastrój mas angielskich w czasie wojny boerskiej (1899—1901). Wszystkie nieszczęścia wojny składano na barki Niemców, podejrzywając, że są tajną sprężyną intryg antiangielskich. Stąd od czasu do czasu manifestacye wrogie Niemcom.

Kiedy np. Alex. Tille, docent języka niemieckiego na uniwersytecie w Glasgow, ogłosił w „*Woche*" szereg zdań nieprzychylnych wojnie z Boerami, tłum studentów zaatakował go, tak że musiał złożyć docenturę i wynieść się do Niemiec, gdzie zemścił się książką wymierzoną przeciw angielskiej konkurencyi handlowej p. t. *Aus Englands Flegeljahren* (1901).

Śród pismiennictwa angielskiego dają się słyszeć głosy coraz to bardziej namiętne. W r. 1902 w *„Times“* głośny poeta, wysławiający imperyalizm angielski, Rudyard Kipling, ogłosił wiersz p. t. *„The Rowers“* (wioślarze), gdzie przezywał Niemca *„the Goth and the shameless Hun“* („Gotem i bezwstydnym Hunem“). Po teatrach zaczynają się zjawiać dramaty straszące inwazyą niemieckiej floty, której rozrost wywołuje ogólny w Anglii niepokój. W czasie wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej nastrój już był tak podniecony, że (w jesieni 1904 r.) niektóre dzienniki angielskie *(Army ana Navy Gazette)* głośno domagały się, że trzeba skorzystać z wypłynięcia floty rosyjskiej z Bałtyku przeciw Japonii, aby tymczasem załatwić się z flotą niemiecką, t. j. albo zażądać od Niemców, aby wstrzymały jej budowę albo ją zniszczyć. „Na dwa pokolenia“ (zapewniały dzienniki angielskie) zabezpieczonoby sobie w ten sposób pokój.

Wybuchy niechęci wobec Niemców paraliżował początkowo jeden wzgląd, wzgląd na drugiego wroga Anglii, na Rosyę. Kiedy jednak w końcu pod ciągami Japonii zachwiał się kolos rosyjski, odtąd cała zawiść angielska skupiła się już wyłącznie na Niemcach, jako jedynym i głównym wrogu. Przeciw temu też wrogowi nowy król angielski, Edward VII., postanowił skoncentrować wszystkie strzały swej dyplomacyi i za pomocą *„entent“* zawartych po kolei z różnymi państwami, zastawić nań sidła ze wszystkich stron. Politykę tę — mimo świeżych protestów Seignobosa — słusznie nazwano polityką „osaczenia“ *(Einkreisung)*. Początek tego zrobił król Edward VII. jeszcze w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, wiążąc się tajnie (8. kwietnia 1904 r.) z Francyą *(entente cordiale)*, a zaszłe niebawem przesilenie o Marokko i konferencya w Algesiras (16. stycznia do 7. kwietnia 1906 r.) dowiodły światu, że Niemcy nie mogą już liczyć na Rosyę i na Włochy i że pomimo swej przewagi i upadku Delcassé'go są „otaczane“, a z sojuszników pozostała im jedyna Austrya.

Właśnie w czasie tego marokańskiego przesilenia flota angielska przyjęła groźną i wyzywającą postawę wobec niemieckiej. Jeszcze 3. lutego 1905 r. lord admiralicyi, Mr. Artur Lee, w publicznej mowie wzywał Anglię, aby zwróciła oczy na Morze Północne, skupiła tam swą flotę tak, aby w razie wojny można było „wykonać pierwszy cios i to zanim jeszcze przeciwna strona znajdzie czas dowiedzieć się z gazet, że już woina wypowiedziana“.

Mowa ta znalazła ogólny poklask. Pochwaliło ją czasopismo *„Daily Chronicle"*, wyrażając tylko żal, że już zeszłego roku nie skorzystano ze sposobności i nie zniszczono floty niemieckiej. Również i w parlamencie pochwalił tę mowę poseł Bowles (30. czerwca 1905 r.), gdyż nie wiadomo „jak rychło przyjdzie Anglii walczyć na Morzu Północnem w obronie „sojusznika" (Francyi). Podobnież i lord Lansdowne, minister spraw zagranicznych, groził w tym czasie (maj 1905 r.) że dla poparcia Francyi angielska flota zajmie kanał Wilhelma i wysadzi w Holsztynie na ląd 100.000 Anglików. Do wojny nie przyszło, ale za to do groźnej demonstracyi, jaką urządziła flota angielska w drugiej połowie sierpnia tegoż roku: Oto zjawiła się na wybrzeżach Jutlandyi w porcie duńskiem Esbjerg, potem koło Skagerraku i Kattegatu i to w chwili, gdy Delcassé groził, że Anglia w razie wojny wyląduje swe wojska przeciw Niemcom w Jutlandyi. Flota angielska była też i na Bałtyku i nawet jakby dla zatuszowania z miną arcysłodką odwiedziła — Swinemünde. Wtórowała tej wyprawie prasa angielska, podnosząc, że ta demonstracya ma Niemcom dowieść, że niesłusznie zamyślają uważać Bałtyk za morze zamknięte (*Reventlow, Deutsche auswärtige Politik,* Berlin 1916, 278).

Demonstracya ta nie minęła bez zysku dla polityki „osaczenia". Dodała bowiem odwagi Norwegii, która w tym właśnie momencie za pobudką Anglii zerwała unię z filo-niemiecką Szwecyą i obrała sobie osobnego króla — w osobie — zięcia Edwarda VII.

W tym samym też czasie udało się Anglii wciągnąć w wieniec państw osaczających Niemcy — jeszcze i Belgię. Anglia, która w czasie przesilenia marokańskiego, poznała jak ważnym terenem będzie w przyszłej wojnie Belgia i gotowa była w razie wojny do wylądowania 200.000 Anglików w Belgii — dobiła teraz targów z królem Leopoldem co do przyszłego wylądowania (Herre, *Weltpolitik* 77).

Od tej też chwili marokańskiego przesilenia Anglicy byli już pewni, że rozprawa z Niemcami rozstrzygnąć się musi — mieczem. Najdobitniej i najwcześniej wyraził to *Morning Post*, który w połowie 1905 r. tak ostrzegał swych czytelników:

„Niema najmniejszej wątpliwości, że Niemcy w niedługim czasie rzucą z wezwaniem rękawicę Anglii i naszą egzystencyę zaatakuje władca tylu a tylu batalionów, władca, którego flota także z każdym dniem wzrasta. Wszystko za tem przemawia, że

walka o nasz narodowy byt jest bardzo bliską, konieczną i naszym dziejowym rozwojem uzasadnioną. A walkę tę wygrać na podstawie obecnego naszego systemu — jest rzecza niemożliwą. Kwestya, czy państwo angielskie ma paść czy też istnieć — nie da się roztrzygnąć kartkami głosowania, ale tylko — bagnetami... Kwestya więc tkwi w tem, czy zbroić się czy nie". (Telegram własny „Czasu" 20. czerwca 1905 r.).

Zbroić się! zbroić się od stóp do głów, oto hasło, które wyszło z przesilenia marokańskiego w Anglii. Od tej chwili rozpoczyna się era budowy dreadnoughtów i zjawiają się plany reorganizacyi armii. Stary marszałek Roberts (zacząwszy od mowy w izbie lordów w czerwcu 1905 r.) podejmuje żywą agitacyę na rzecz powszechnej i obowiązkowej służby wojskowej. Co prawda, po tej pierwszej gorączce wojennej przyszedł zrazu jakiś odruch. Służba obowiązkowa była to rzecz w Anglii niepopularna, a że zbrojenia i budowa dreadnoughtów kosztowały dużo, więc Anglia jeszcze raz spróbowała zagadnąć Niemcy (w lecie 1907 r. w czasie konferencyi pokojowej w Hadze), czyby nie zgodziły się na obustronne zredukowanie zbrojeń lub powszechne rozbrojenie. Kiedy jednak kanclerz Bülow odmówił, wzrosło nad Tamizą jeszcze większe oburzenie i zacietrzewienie na Niemców jako „jedynych" wrogów pokoju i zwolenników „militaryzmu". Co prawda, to i w Niemczech nastrój stawał się coraz bardziej wojowniczy, a dowodem tego były wybory do parlamentu niemieckiego (koniec 1907 r.), w czasie której zyskały przewagę żywioły, popierające expanzyę i dążenia imperyalistyczne.

Chmury coraz gęstsze zaczęły się gromadzić na horyzoncie politycznym. Aby je zażegnać, wystąpił jeszcze z różdżką oliwną sam Wilhelm II., udając się w listopadzie 1907 r. z odwiedzinami do Edwarda VII. I w istocie uczta na cześć cesarza w City, deputacya uniwersytetu oxfordzkiego, ofiarowująca mu tytuł honorowy doktora — mogły budzić nadzieje, że nastąpi pojednanie i że przycichną surmy bojowe. Cóż kiedy w Anglii rozległy się wnet ponowne okrzyki zgrozy, ukazujące nowe „niebezpieczeństwo niemieckie", nadchodzące od strony, od której najmniej się go spodziewano — od Azyi Małej, niebezpieczeństwo związane z pochodem niemieckim, nazywanym przez Kjellena *„Drang nach Süden"*.

Wszystko się zaczęło od „fantastycznej", jak mówiono, podróży cesarza Wilhelma II. do Turcyi w r. 1888 i drugiej do Pa-

lestyny w r. 1898, w czasie której w Damaszku na grobie Saladyna (8. listopada) uroczyście zawołał: „Niechaj 300 milionów Mahometan, rozproszonych po całej ziemi wie, że po wszystkie czasy niemiecki cesarz będzie ich przyjacielem“. Odtąd nie (jak chciał Salisbury) rozbiór Turcyi między Niemcy i Anglię, ale przeciwnie, jak najsilniejszy związek Niemiec z Islamem i sułtanem — stał się programem cesarza Wilhelma. Zatem poszły koncesye dla towarzystw niemieckich na koleje w Małej Azyi, a głównie (22. stycznia 1902 r.) na kołej bagdadzką, która miała łączyć zatokę perską przez Konstantynopol z Berlinem. Zdawało się rzeczą jasną, że koleje te nie tylko wyprą towary angielskie z targów tureckich, ale co więcej sułtan — „kalif“, wsparty przez niemieckie działa Kruppa, może jako następca Mahometa podburzyć miliony muzułmanów, poddanych angielskich w Indyach i Afryce, może zagrozić tej najdrażliwszej — Achillesowej pięcie Albionu, temu mostowi i punktowi węzłowemu między angielskiemi koloniami Azyi i Afryki, t. j. Egiptowi. „Cesarstwo Indyi“ — imperyum Wielkiej Brytanii (które marzyło o ujarzmieniu Arabów), uczuło się zagrożone w samych swych posadach — na linii Kalkutta—Kairo.

Konflikt ten zarysował się w całej pełni na wiosnę 1903 r., gdy Niemcy odrzuciły propozycye Anglii co do udziału w kolei bagdadzkiej i gdy w odpowiedzi na to Anglia zapowiedziała opór przeciw utworzeniu końcowej stacyi tej kolei nad zatoką perską, jako rzeczy groźnej dla interesów angielskich (Herre, *Weltpolitik* 51).

Anglicy ocenili dobrze sytuacyę. Przeczuwali, w czem tkwi sedno sprawy. Wyjaśnił im to dokładnie znany badacz Afryki, Harry Johnston, który w tymże roku 1903 w londyńskiej Kronice finansowej w taki sposób odsłaniał dalekie plany niemieckie:

„Gdybym był Niemcem, tobym widział w marzeniach przyszłości wielkie niemiecko-austryacko-tureckie cesarstwo z dwoma głównymi przystaniami: Hamburgiem i Konstantynopolem, a z portami na Morzu Niemieckiem, Bałtyckiem, Adryatyckiem i Egejskiem, cesarstwo, któreby miało wpływ przez Azyę Małą i Mezopotamię aż do Bagdadu i d a l e j. To zjednoczone imperyum od ujścia Łaby aż do ujścia Eufratu byłoby niezawodnie celem wspaniałym, godnym aspiracyi wielkiego narodu“.

Czemby obok władcy takiego imperyum stał się król angielski? Jakże marnie by brzmiał jego tytuł „cesarza Indyi“ (przyjęty w r. 1877). Czy wobec takich planów walka na śmierć i życie

nie była widoczna? Czy walkę tę nie zapowiadał i parlament niemiecki, uchwalając (27. marca 1908 r.) budowę dreadnought'ów za przykładem Anglii i oczywiście przeciw niej. Ale jeśli walka będzie się toczyć w tamtych azyatyckich stronach na lądzie, to w takim razie ktoby mógł Anglię tam wesprzeć? Czy nie dałoby się oderwać Austryi od Niemiec i za jednym zamachem zabarykadować drogi temu nowemu „*Drang nach Süden*“? Cóż kiedy wszystkie jednak zakusy Edwarda VII. i umizgi do Austryi, pomimo nalegań w Ischlu (15. sierpnia 1907 r.), pozostały bezowocne. A więc jedyna nadzieja ratunku pozostała w Rosyi. Ona, rywalka Austryi na Bałkanie, najłatwiej może pokrzyżować plany dwuprzymierza przez rozbudzenie szerokich słowiańskich aspiracyi śród Serbów, Bułgarów itp. A przytem przykuwając uwagę Rosyi do Konstantynopola, odciągnie się ją na tej drodze najłatwiej od Dalekiego Wschodu, od angielskich posiadłości.

Ugoda rosyjsko-angielska co do podziału sfery interesów w Persyi (podpisana 31. sierpnia 1907 r.), zdradziła światu, że oba mocarstwa już podały sobie ręce i że wraz z Francyą powstaje trójporozumienie *(Triple entente)*. Sławna wizyta Edwarda VII. w Rewlu (19. lipca 1908 roku), pierwsza, jaką kiedykolwiek król angielski złożył carowi, utwierdzała to porozumienie i najprawdopodobniej miała właśnie na celu pchnąć Rosyę przeciw sułtanowi zaprzyjaźnionemu z Niemcami. Wprawdzie kanclerz Bülow uspokajał (7. grudnia 1908 r.) parlament berliński, oświadczając, że wedle zapewnień Izwolskiego ostrze tego zjazdu nie zmierza przeciw Niemcom, ale tajemnicą poliszynela było, że t. zw. „reformy macedońskie“ miały na celu pokrzyżowanie planów niemieckich w Turcyi.

W tych czasach krytycznych nastrój nad Tamizą i nad Sprewą był tak wojowniczy, że nawet niektóre odosobnione usiłowania, aby burzę zażegnać, wywoływały tylko jeszcze większą wrzawę i szczęk oręża.

Nadarmo pacyfiści starali się jeszcze gniewy ułagodzić, wysiłki ich odnosiły skutek wprost przeciwny. Tak pewien Anglik zwrócił się z prośbą do cesarza Wilhelma II., aby pozwolił mu ogłosić szereg jego wynurzeń, które tchnęły duchem pojednawczym i za pozwoleniem kanclerza Bülowa ogłosił je w „*Daily Telegraph*“ (28. października 1908 r.). Wrażenie tego artykułu było nieopisane, ale zupełnie odwrotne, aniżeli zamierzano. Wedle tego

artykułu cesarz oświadczył, że wprawdzie śród większości społeczeństwa niemieckiego panuje niechęć do Anglii, ale cesarz stara się to ułagodzić.

Rewelacye te oburzyły i Anglików i Niemców. W Niemczech kanclerz Bülow, odpowiedzialny za to ogłoszenie, naraził się na ostre interpelacye i surowe krytyki w parlamencie, tak że zażądał nawet dymisyi, której cesarz mu nie udzielił (Egelhaaf, *Geschichte der neuesten Zeit* 1913, 530—532).

W Anglii zaś dotychczas głośny jako pacyfista pisarz Stead napisał w *„Daily Mail"*:

„Jeśli większość Niemców jest nam wroga, to może jakiś wypadek automobilowy albo inne jakie nieszczęście obalić i tego jedynego naszego przyjaciela, jakiego mamy w Niemczech. A więc Anglii nie pozostaje nic innego, jak tylko budować dreadnoughty, bo tylko w ten sposób można się zabezpieczyć przed planami, które cesarz uprzejmie nam odkrył".

Ale i dreadnoughty nie zupełnie już uspokajały naród wyspiarski. Zeppeliny zaczęły fruwać w Niemczech, a Wells w swej powieści (*The war in the air* 1908) przepowiadał inwazyę w powietrzu i pobudzał do pogotowia. W zimie 1908/09 zapanował jakiś nastrój „paniki" w Londynie, wszyscy mówili o „niebezpieczeństwie niemieckiem" (*German danger*) i powstawali na to, że admirał Tirpitz śmie przekraczać programową ilość „dreadnoughtów", Dzięki dramatowi inwazyjnemu *„Battle of Dorking"* udał się świetnie w Anglii werbunek rekrutów w 1908/09 r. Organizacya skautów (wszczęta w 1907 roku) przybierała w Anglii coraz większe rozmiary i zapalała młodzież do ćwiczeń wojskowych.

Całe to zdenerwowanie opinii londyńskiej tłómaczy się współczesnem groźnem przesileniem z powodu aneksyi Bośni. Jak wobec tej aneksyi zachowa się trójporozumienie, o tem zdecydować miała głównie Anglia, bo jak dziś słusznie przyznaje kanclerz Bülow (*Deutschland unter Kaiser Wilhelm II.* 1914, 44): „Polityczny kierunek „triplententy" w decydujących momentach przeważnie spoczywał w rękach Anglii". Wobec Edwarda VII. stanął dylemat: czy pchnąć Europę na szalę wojny światowej, czy też jeszcze raz zatrzymać się nad przepaścią. Edward VII. wybrał to drugie, i on — sam „wódz osaczenia", udał się (10. lutego 1909 r.) wraz z żoną z uroczystą wizytą do swego siostrzeńca Wilhelma II. — do Berlina. Przyjęcie było niezwykle gościnne i ujmujące. Przesilenie bo-

śniackie zażegnano (31. marca 1909 r. Serbia uznała aneksyę), a w Niemczech w miejsce Bülowa został kanclerzem (w lipcu 1909 roku) więcej pokojowo usposobiony Bethmann-Hollweg, który zaraz rozpoczął z Anglią układy w sprawach kolonialnych.

Niektórzy sądzili wówczas, że z wizytą berlińską skończyła się polityka „osaczenia“, a na dowód przytaczali, że po niebawem zaszłej śmierci Edwarda VII. (7. maja 1910 r.) wyrwała się Rosya z tego łańcucha mocarstw osaczających, a car na zjeździe z Wilhelmem II. w Potsdamie (4. listopada 1910 r.) przyznał Niemcom kolej bagdadzką, zyskując w zamian uznanie dla wpływów rosyjskich w północnej Persyi.

Nie przeszkodziło to jednak, że znowu w lecie 1911 r. nad przestraszoną Europą zawisło, jak miecz Damoklesa, niebezpieczeństwo wojny w postacie drugiego przesilenia marokańskiego. Jak fanfara wojenna zabrzmiała wówczas mowa sekretarza stanu Lloyda George'a (21. lipca 1911 r.), po której Anglia podobno gotowała się do wysłania 150.000 żołnierzy do Belgii.

Trzeba przyznać, że w czasie tego marokańskiego przesilenia w Anglii odzywały się głosy nakłaniające do porozumienia i że po przesileniu stanowczo wzięły górę nad wojowniczemi. Coraz głośniej w tym kierunku wypowiadała się prasa. Wspomniany geograf Harry Johnston w „*Nineteenth Century*“ (1910) przestrzegał, że i dla samej Anglii smutne skutki wyniknęłyby z osaczenia Niemiec. Tę politykę osaczenia Niemiec potępiali też w parlamencie angielskim (w jesieni 1911 r.) lord Rosebery i lord Courtney, wytykając, że polega ona tylko na wysługiwaniu się Francyi i Rosyi, sekundował im tamże przewódca robotników Morel, dowodząc, że trójporozumienie postępuje z Niemcami zbyt szorstko. Nawet na początku 1912 r. wypowiadały się liczne zgromadzenia za porozumieniem z Niemcami, a tygodnik „*Spectator*“ wskazywał drogę do tego: przez ustępstwa w Afryce.

Hasła te znalazły odzew i w Niemczech, gdzie podniesiono program: „*Weltpolitik und kein Krieg*“.

W obu krajach torował drogę porozumieniu świeżo utworzony „*Anglo-German Friendship Committee*“, nawołujący do redukcyi zbrojeń. Sam angielski minister wojny (od r. 1906), wicehrabia Haldane, współdziałał tu pojednawczo. Sam znany jako autor tłómaczenia Schopenhauera, uważany powszechnie za przyjaciela Niemiec, postarał się r. 1911 o pięć odczytów w uniwer-

sytecie w Manchester o Niemczech i wydał je (1912 r.), dedykując je Harsfaltowi, również zwolennikowi zbliżenia angielsko-niemieckiego.

Tento minister Haldane, jako wstęp nieodzowny do pojednania obu narodów, uważał wzajemne porozumienie się co do redukcyi w budowie dreadnought'ów i floty. W tym celu z odpowiedniemi instrukcyami wyjechał do Berlina (8.—11. lutego 1912 r.). Tu Bethmann-Hollweg zaproponował mu układ na podstawie wzajemnej zupełnej neutralności. Haldane to odrzucił jako zbyt daleko idącą propozycyę, ale natomiast zawiózł z sobą do Londynu projekt węższy, polegający na wzajemnej neutralności, ale tylko w razie defenzywnej wojny. Ale i to Grey odrzucił, tłómacząc się wobec ambasadora niemieckiego, że mogłoby to podkopać dobre stosunki między Anglią a Francyą i Rosyą. Jeszcze przez lato 1912 roku krążyli dyplomaci między Berlinem a Londynem — zresztą bezowocnie. W końcu porozumiano się tylko o ograniczenie zbrojeń flotowych. Niemcy przyjęły zasadę zaproponowaną przez Anglię, oznaczającą stosunek ilości dreadnoughtów angielskich do niemieckich jako 16:10 i na tej też podstawie sekretarz stanu marynarki, Tirpitz, przedłożył parlamentowi niemieckiemu projekt budowy floty.

Zdawało się, że antagonizm ułagodzono i że widmo wojny zażegnano na długie czasy. Zdawała się to potwierdzać rezerwa, w jakiej się utrzymała Anglia wobec Rosyi w czasie wojen bałkańskich. Zdawało się za tem przemawiać bardzo życzliwe zachowanie się opinii angielskiej i rządu angielskiego w czasie 25-letne rocznicy panowania cesarza Wilhelma II. (15. czerwca 1913 r.). Rozpoczęte też wówczas (w lecie 1913 r.) pokojowe układy angielsko-niemieckie (co do Mezopotamii i żeglugi na Tygrysie itp.) doszły aż do tego stadyum, że w połowie 1914 r. już je podpisano i miano się już tylko porozumieć co do ich opublikowania. (Herre). Paweł Rohrbach, pisząc w pierwszej połowie 1914 roku książkę „*Der Krieg und die deutsche Politik*“, wskazywał, że Anglia nareszcie już nie sprzeciwia się kolei Bagdadzkiej i nie zajmuje już wrogiego stanowiska wobec Niemiec *(Entspannung)*. W tem padły mordercze strzały w Serajewie i wybuchła wojna światowa.

W. S.

„Ojcze Nasz“ Cieszkowskiego.

VI. Myśl przewodnia.

(Dokończenie.)

Budowa Królestwa Bożego na ziemi — oto dla Cieszkowskiego nietylko główny, ale jedyny cel życia ludzkiego. I osiągnie go ludzkość — w trzeciej epoce swojego rozwoju, osiągnie bez wyjątku wszystko, o co prosi w Modlitwie Pańskiej.

Cóż będzie tę trzecią epokę, epokę Ducha Świętego, cechowało? Jak epoka pierwsza stworzyła prawo, a druga moralność, tak trzecia stworzy socyalność, która nie będzie zaprzeczeniem ani prawa, ani moralności, tylko, przeciwnie, ich doskonałą syntezą. Socyalność zaś to nic innego, tylko płynąca z dobrowolnej miłości i uznana za powszechne prawo solidarność rodu ludzkiego [1]): oto najwyższy ideał społeczny Cieszkow-

[1]) I, 207. Idea socyalności i solidarności nie jest oryginalną myślą Cieszkowskiego: wykołysali ją myśliciele francuscy, z Saint-Simonem i jego wielkim uczniem, Comtem, na czele. Na nich się wprawdzie Cieszkowski nie powołuje, ale czy im nic nie zawdzięcza? Historyk filozofii w Polsce nie będzie mógł pozostawić tego pytania bez odpowiedzi; będzie także musiał wytłómaczyć wpadającą w oczy zbieżność myśli Cieszkowskiego z myślą dzisiejszych filozofów i moralistów francuskich, zbieżność, która prawdopodobnie ma swoje źródło wspólne — w humanitarnej filizofii francuskiej XIX. wieku. Zwłaszcza kiedy się czyta Durkheima, wpada to podobieństwo w oczy. „*Est moral ce qui est source de solidarité, tout ce qui force l'homme à régler ses mouvements sur autre chose que les impulsions de son égoisme (De la division du travail social,* wyd. pierwsze, 448*). Pour la connaissanse empirique, le seul être pensant qui soit plus grand que l'homme, c'est la société. Elle est infiniment supérieure à chaque force individuelle, puisqu'elle est une synthese de forces individuelles L'état de perpétuelle dépendance où nous sommes vis-à-vis d'elle nous inspire pour elle un sentiment de respect religieux (De la définition des phénomènes religieux*“, w *l'Année*

skiego, oto „spełnia ludów“, przepowiedziana przez św. Pawła [1]). „Jak pobratanie się ludzi przez chrystyanizm i wzniesienie ich do godności bliźnich było już przybliżeniem... Królestwa“ Bożego, „a to przez założenie społeczności chrześcijańskiej, — Kościoła chrystusowego, — tak znowu dalsze pobratanie się ludów i narodów przez parakletyzm i wzniesienie tychże do godności członków powszechnego społeczeństwa staje się tegoż Królestwa nadejściem czyli... założeniem paraklelycznej społeczności, — Kościoła Ducha Świętego“ [2]). I jeszcze: „Jak... Kościół chrześcijański ogarnąć miał idealnie wszystkich ludzi, tak Kościół ludzkości ogarnąć ma realnie wszystkie ludy i połączyć takowe nie żadną trafunkową przyrodzoną siłą, ani też abstrakcyjno-idealnym nakazem, — ale organicznem życiem; nie idzie mu bynajmniej o spojenie ludów w jedno olbrzymie a ogólne państwo, ale właśnie o rozwinięcie wspólnej państw jedności, o ich wiekuistą harmonię“ [3]). Wszystkie ludy wybaczą sobie wzajemne krzywdy i winy i połączą się z sobą na tych samych zasadach, które będą obowiązywały każdą wogóle społeczność, to jest na zasadach wolności, równości i braterstwa, płynących z tej jednej świętej zasady ogólnej, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca niebieskiego. Do największych piękności całego dzieła należą rozdziały drugiego tomu, poświęcone wykazaniu tej prawdy moralno-religijnej, że, „wyznawając... Boga Ojcem naszym“, wyznawamy wszech ludzi i ludów wolność, równość i braterstwo“ [4]). W tak połączonej z sobą i zespolonej ludzkości będzie panował „wiekuisty i powszechny pokój“ [5]), nie wcześniej jednak, zanim się narody „religijnie

---

sociologique II, 23): takich i tem podobnych myśli pełno w dziele Ojcze Nasz. I dla Cieszkowskiego, jak dla Durkheima, społeczeństwo, a raczej ludzkość jest czemś niemal transcendentalnem; obydwaj obowiązki jednostki dedukują z idei dobra powszechnego; Durkheim przestaje tutaj być socyologiem i staje się moralistą, tak samo jak Cieszkowski przestaje być historyozofem i staje się moralistą; dodać jednak trzeba, że, kiedy Durkheim ma na myśli społeczeństwo wogóle, Cieszkowski nigdy nie traci z oczu całego konkretnego rodzaju ludzkiego.

[1]) IV, 102.

[2]) IV, 91.

[3]) IV, 97.

[4]) II, 141 nn.

[5]) IV, 113.

z sobą nie zwiążą, dopóki się z Ducha nie odrodzą, dopóki się w Społeczności Ducha Świętego nie utwierdzą“ [1]). Kwestye sporne pomiędzy narodami będzie rozstrzygał trybunał narodów [2]); w organizacyach politycznych i społecznych będzie panowała zasada wolnej elekcyi [3]); a głównymi filarami tych organizacyi będą: rząd centralny, jako najwyższa władza wykonawcza, sobór powszechny ludzkości, jako najwyższa władza prawodawcza, i powszechny trybunał narodów, jako najwyższa władza sądownicza i kontrolująca [4]).

Ale dosyć tego. Ojcze Nasz nie jest utopią, nie daje szczegółowego obrazu przyszłej wymarzonej epoki; wyraźnie mówi Cieszkowski, że „stanowić tu z góry, jak się ma ludzkość, jak się mają ludy uorganizować, jak się Królestwo Boże w dalszym potoku historyi rozwinie, jaki będzie jego wewnętrzny porządek,... ani możemy, ani chcemy, ani mamy to tego prawo“ [5]). Ojcze Nasz ukazuje ten ideał tylko z daleka, ale wskazuje doń drogę, uczy, jak osiągnąć socyalność. Ta zaś droga nie prowadzi przez rewolucyę, przez krwawe przewroty społeczne czy polityczne. Jest Cieszkowski, jak Krasiński i Towiański, wrogiem rewolucyi, jako czynu, płynącego nie z miłości, tylko z nienawiści. „Dziś... minęły czasy wandalizmu, — czasy zagłady lub toporu“ [6]); Ojciec nasz, który jest w niebiesiech, uczy, iż „jedynie droga miłości i prawdy wiedzie bez chyby do wolności, do równości, do braterstwa“ [7]). Nie przeczy wprawdzie Cieszkowski (za rozumnym człowiekiem i za uczciwym myślicielem był na to, aby przeczyć), że rewolucya może pociągać za sobą dla ludzkości dobre skutki, jeśli obala krzywdę, że np. wielka rewolucya francuska, obalając stary świat, „przysporzyła... niemało materyałów do nowego dzieła i odkryła też niemało zakopanych skarbów pod zwaliskami runącego“ *(sic)* „średnich wieków gmachu, — dzięki jej za to!“ [8]). Co więcej, przyznaje Cieszkowski, że rewolucya, jako „przez Boga dopuszczona“,

---

[1]) IV, 117.
[2]) IV, 110.
[3]) IV, 168.
[4]) IV, 175.
[5]) IV, 218.
[6]) I, 257.
[7]) II, 255.
[8]) I, 56.

bywa „w wyrokach jego za niezbędną lub zbawienną uznana i w skutkach swoich błogosławiona“ [1]): lecz ten pogląd pozostaje w ścisłym związku z poglądem ogólnym, że złe wychodzi ostatecznie na dobre. Rewolucya w istocie swojej jest zawsze złem, zawsze zbrodnią: z tego, że się zwraca przeciwko zbrodni, czy to społecznej, jak ucisk i wyzysk ludu, czy politycznej, jak odbieranie narodowi własnego państwa, nie wynika bynajmniej, żeby sama zbrodnią nie była; zbrodniarzami są ciemiężyciele, ale rewolucyonici także. Nie dosyć na tem, jest najgłębszem przekonaniem Cieszkowskiego, że to dobre, które przynosi rewolucya, może ludzkość zawsze osiągnąć środkami dobrymi, za pomocą ewolucyi, i to o wiele prędzej i pewniej: „...Orkan rewolucyi przyniesie ze zniszczeniem, co fala ewolucyi mogła była ze zbawieniem przynieść“ [2]). „Noc 4. sierpnia, dzień 3. maja, ranek 18. marca, oto są wielkie i chwalebne dla ludzkości chwile, bo bez gwałtu, bez zgryzoty ani sromoty żadnej, bez krwi rozlewu i zgoła bez rozdarcia, bez rewolucyi wszelkiej i przed rewolucyą zabłysłe“ [3]). Rewolucyoniści, zdaniem Cieszkowskiego, wykrzywiają i opóźniają postęp ludzkości, przewlekają tylko „ociąganie się Pańskie“ [4]), chociaż cofnąć postępu nie mogą, oczywiście, ani rewolucyoniści, ani ci, przeciwko którym rewolucya się zwraca.

Z takiej wychodząc zasady, wierząc, że „tylko prawą drogą chrystusową, drogą moralności ewangelicznej dochodzimy do dziedzictwa Ojca naszego, dla nas, dziatek jego, przygotowanego“ [5]), ostro zwraca się Cieszkowski przeciw różnym doktrynerom rewolucyi, „obłąkanym mędrkom“ i „wieszczom“, którzy „w napadzie chwilowego obłąkania zwą samego Ducha, onego Pocieszyciela i Utwierdziciela, wiecznym rewolucyonistą“ [6]); gromi zarówno tych, co uczą, „że gwałt i przemoc leżą w naturze“ [7]), jak i tych, co poczytują rewolucyę za złe, ale, dodają, za złe konieczne. Na to Cieszkowski: „Niema zdradliwszej i przepaścistszej teoryi nad teoryą niezbędnego złego“; ona to przecie „wyrodziła ów tak zwany

[1]) II, 279.
[2]) II, 278.
[3]) II, 222.
[4]) II, 135.
[5]) Tamże.
[6]) II, 291 (widoczna alluzya do Słowackiego).
[7]) II, 213.

machiavelistyczny rozum stanu,... który wszelką niegodziwość, wszelki gwałt, zadany prawom boskim i ludzkim, wrzekomą koniecznością tłómaczy"; w imię tej to teoryi rozszarpano Polskę" [1])! „Złego, absolutnie niezbędnego, niemasz i być nie może na świecie, może być tylko względnie niezbędne, bądź jako dopiero powodująca przyczyna, bądź jako już spowodowany skutek (np. kara, jako niezbędne następstwo przestępstwa, i to zawsze pod możnością przebaczenia i zbawienia)"; „z natury swojej... złe jest arcyzbędne, i dlatego wzdychamy do pozbycia się jego i modlimy się do Boga: zbaw nas od złego" [2]). Z niemniejszą energią zwraca się Cieszkowski przeciwko samym rewolucyonistom, politycznym zarówno, jak społecznym. Co do politycznych, błaga „synów umęczonego, rozkrzyżowanego narodu" [3]), by się nie mścił swoich krzywd, pozostawiając ukaranie krzywdzicieli Bogu; co do społecznych, wybucha oburzeniem przeciwko socyalistom i komunistom, że nadużywają „pięknego nazwiska socyalistów" [4]), że nurtują, „jak krety, i tajemnemi knowaniami" podkopują społeczną budowę [5]), że są „jezuitami postępu": „Jak owi wrzekomi Towarzysze Jezusa użyli i nadużyli najświętszego imienia na ziemi, aby anti-jezusowe przeprowadzać zamysły, nie troszcząc się bynajmniej o świętość środków, byle niby-świętych dostępować celów, a niepomni przykazania Mistrza, nie wahali się schować światło pod korzec i, pychą natchnieni, zamyślili świat opętać, sami duchowi niewoli opętać się dawszy: tak i wy, których przywłaszczone nazwisko zwolennikami społeczeństwa mianuje, ubliżacie wiążącej was nazwie, hołdując owszem rozwiązłości, i mimo tylokrotnych wspomnień mistrzów waszych nie wahacie się *per fas et nefas* rozrywać świat i religię jego, miasto religowania, a nie wzdrygając się przed rozswawoleniem świata, sami w złowieszczą plątacie się swawolę, której niechybnym ujściem niewola" [6]). I jeszcze z dominikanami porównywa Cieszkowski socyalistów ze względu, że się ubiegają „o urząd inkwizycyi doczesnego zbawienia" [7]). Ale

---

[1]) II, 293.
[2]) II, 293—294.
[3]) I, 260.
[4]) II, 296.
[5]) II, 299.
[6]) II, 305.
[7]) II, 304.

znów nadto bezstronnym i uczciwym człowiekiem był na to,że by same tylko ujemne strony widzieć w socyalistach, jezuitach i dominikanach: „Jak w zgromadzeniach Loyoli lub Dominika zakwitały nieraz chrześcijańskie cnoty i do dziś dnia krzewią się uwielbienia godne zasługi, mimo czarnej kaźni, która je od wieków zaległa, tak i w waszych pałających a okopconych kuźniach potomność nie przeoczy szlachetnego kruszcu, mimo czerwonej rdzy, który go pożera“ [1]).

Nie dosyć na tem. Jeżeli gromi Cieszkowski tych, co gwałtownymi środkami chcą walczyć z gwałtem i krzywdą, to daleko jeszcze mocniej, daleko goręcej (i to jedno z najszlachetniejszych drgnień tego wielkiego serca) zaklina tych, co dzierżą władzę nad światem, żeby jej nie nadużywali dla swych samolubnych celów, żeby nie kradli ludom i ludziom tego najdroższego skarbu, którym jest wolność: „Wy, którzy wstrzymujecie postęp ducha ludzkości, na miłość Boga, przestańcie, bo jak Bóg Bogiem, to wam się na nic nie przyda! Czyż nie dość już jęków wydała pierś ludzkości, czyż nie dość łez oczy jej wyroniły? Cóż wam z tego przyjdzie, że ich trochę więcej jeszcze wyciśniecie? A przemódz? nie przemożecie; przytłumić? nie przytłumicie; wytępić? nie wytępicie. Ani działa, ani bagnety, ani rusztowania, ani lochy podziemne, ani rada, ani zdrada, jak Bóg Bogiem, nic wam nie pomoże, bo to sprawa Boża... O wstyd wam! o hańba wam, którzy czuwacie nad społeczeńskiem ciałem, jeśli... świadomość cierpienia ludzkości nie wzbudzi w was woli ratunku, czynu zbawienia!... Resztę daruje wam ludzkość, ale sromu waszego z księgi żywota zmazać wam nie zdoła. Sam nawet Wszechmocny przebaczyć może popełniony czyn, ale niebyłym uczynić go nie zdoła. Kara więc wasza, krwią i łzami zapisana, pałać będzie na wieki w rocznikach świata, w tem wiecznem piekle sromoty, którego ogień nigdy was nie strawi! Drżyjcie więc, aby ludzkość nie wyrzekła nad wami straszliwego przekleństwa: hańba wam na wieki!“ [2]).

Jeżeli tedy nie rewolucya, to co wprowadzi ludzkość w nową, wyższą i już najwyższą epokę życia? Odpowiada Cieszkowski: tylko czyn. Należy to jednak szczegółowo wyjaśnić, w pojęciu bowiem czynu skupia się myśl przewodnia dzieła Ojcze Nasz

---

[1]) II, 305—306.
[2]) I, 261—263.

i wogóle całej filozofii praktycznej Cieszkowskiego, którą też bardzo słusznie nazwano „filozofią czynu“ [1]).

Wierząc mocno w zbliżanie się chwili, kiedy „porzuci już ludzkość dotychczasowe próby... i wejdzie wreszcie do... świątyni prawdziwego Ducha“, w której „odetchnie po trudach dotychczasowego żywota“, i w to także wierzył Cieszkowski, że w tej świątyni człowiek „nie spocznie bynajmniej“, że, przeciwnie, w niej dopiero rozpocznie „prawdziwą działalność“, że trzecia epoka dziejów ludzkości nie będzie to jakieś „gotowe Eldorado“: „Niech sobie duchowi leniwce“ do niego „wzdychają, — nam trzeba naszą Ziemię Obiecaną własnem działaniem zagaić, zasadzić i wykształcić; pod tym tylko warunkiem posiądziemy ją, — a to czynne posiadanie jest właśnie epoki trzeciej zadaniem“ [2]). Bezczynnym, a przynajmniej czyniącym nieświadomie był człowiek jedynie w tak zwanym raju ziemskim, to znaczy w czasach, „kiedy żył dopiero w łonie natury, jakoby dziecię w łonie matki, bez żadnej świadomości siebie,... słowem wtenczas, kiedy był dopiero niewinnem zwierzęciem albo niewinniejszą jeszcze rośliną“ [3]). Ale człowiek w raju upadł, jak opowiada legenda, zakosztował „owocu świadomości złego i dobrego“, to znaczy popełnił pierwszy „samodzielny czyn Ducha, pierwszy krok człowieczeństwa“, i tym sposobem „to przestępstwo... było niezbędnem następstwem samej istoty Ducha i było postępem“ [4]). Dlatego to św. Augustyn „winę upadku człowieczego nazwał najszczęśliwszą winą“. „Tak jest — dodaje Cieszkowski — wina owa była najszczęśliwszą, bo bez niej nie bylibyśmy ludźmi, nie bylibyśmy sobą“ [5]). Od tej chwili zaczyna się ludzki czyn. Zrazu, w pierwszej epoce, ten czyn był jakby na pół świadomy, a dążył do coraz większego „odpadnięcia od wszechżycia“ [6]), do coraz większego wyodrębnienia się z pośród natury. Później, w epoce drugiej, ten czyn był świadomy, bo ludzkość w nauce Chrystusa otrzymała „słowo zbawienia“, które jej pozwoliło wyodrębnić się do szczętu z pośród natury i wstąpić w siebie. Dzisiaj daremnie czekałaby ludzkość

[1]) *Philosophie aer Tat* (Żółtowski).
[2]) I, 213.
[3]) I, 205.
[4]) Tamże.
[5]) I, 206.
[6]) I, 205.

na nowe słowo, bo czyż może być większe słowo nad Słowo Jezusa Chrystusa? dzisiaj daremnie liczyłaby na łaskę, jaką przed wiekami było dla niej Słowo Chrystusa: „Zbawienie ludzi i ludów, ludu i ludzkości, dziś od nich samych i od nich tylko zawisło. Ustał czas łaski, — nastał czas zasługi; dokonało się miłosierdzie, powstaje zadośćuczynienie“ [1]). Wówczas, w drugiej epoce, „pojąwszy słowo, dość było wstąpić w siebie, uwierzyć i ukochać, — dziś trzeba jeszcze wystąpić z siebie, przez się zdziałać to, w co się wierzy i co się pojęło, — urzeczywistnić czynem to, co się pokochało i przed-się-wzięło; bo tamto odrodzenie było dopiero z Bożej łaski, — a to teraz z naszej własnej pracy“ [2]). Dzisiaj „*orare est laborare*“ [3]); dzisiaj „czyn... jest ostatecznym kamieniem probierczym wszystkiego, co istnieje, wszystkiego, co żyje“ [4]); „czyn dopiero jest najwyższym, najświętszym celem Ducha, — czyn dopiero jest Bogu miłym, — Czyn dopiero jest istną miłością, wyznaniem i czcią Boga“ [5]).

Przez tę zasadę czynu, jako korony życia, jako jedynego zbawienia, t. j. jedynego środka do zbudowania Królestwa Bożego na ziemi, przezwyciężył Cieszkowski filozofię swego mistrza, Hegla, dla którego ostatniem słowem mądrości było poznać się w swoim własnym umyśle, dojść do zupełnej świadomości samego siebie, dla którego historya polegała na postępie w uświadamiania sobie swej wolności [6]). Możliwą jest rzeczą, że pomysł Cieszkowskiego filozofii czynu, znanej zresztą już dobrze Arystotelesowi [7]), ma swoje źródło w filozofii Fichtego, który głosił pogląd, że się dawniej, aż do ostatnich, czasów ludzkość rozwijała nieświadomie (więc, możnaby powiedzieć: z łaski bożej), a nie własną zasługą, że się postęp, t. j. dążenie do prawdziwej wolności, dopiero w czasach przyszłych odbywać będzie świadomie, już własną zasługą, że polegać będzie już nie na *Tat-sachen*, tylko na *Tathandlungen*, t. j. nie na faktach, które się odbywają i w nie-

---

1) I, 6—7.
2) I, 274.
3) I, 27.
4) I, 220.
5) III, 278.
6) Żółtowski, *Cieszkowski's Philosophie der Tat*, 76—77.
7) Jodl, *Geschichte der Ethik*², I, 36.

świadomej przyrodzie, tylko na aktach, których niema bez świadomej swoich celów woli człowieka [1]).

Więc jakiegoż to czynu ma ludzkość dla zbawienia swojego dokonać? Zakładać bractwa miłosierdzia? organizować coraz nowe i coraz lepsze stowarzyszenia, powołane do realizowania zasad socyalności? zamiast wojskowości organizować roboty publiczne? zakładać szkoły i zapewnić społeczeństwu powszechną i bezpłatną edukacyę, nietylko umysłową, ale także moralną i estetyczną? [2]) wszystkim ludziom dać wolność i możliwą równość, a wszystkim narodom niepodległość? Tak, rozumie się; o tem wszystkiem mówi Cieszkowski mądrze i pięknie (najpiękniej o wychowaniu ludu w tomie trzecim): ale to wszystko skupia się w pojęciu czynu socyalnego, realizowania Słowa Chrystusowego, więc nadewszystko Modlitwy Pańskiej, realizowania — w całem życiu: moralność chrześcijańska powinna zakrólować nietylko w życiu prywatnem, ale także społecznem i politycznem, powinna się wznieść na wyżyny socyalności.

Ale i tego jeszcze nie dosyć, żeby zrozumieć myśl przewodnią dzieła Ojcze Nasz.

Czyn, mający na celu zrealizowanie socyalności, powinien być wolny czyli dobrowolny. Dobra wola to w filozofii Cieszkowskiego ten punkt oparcia, którego w fizyce szukał Archimedes [3]). Ale co to jest dobra wola? Jest to taka wola, która chce sama, bez żadnego zewnętrznego przymusu, tworzyć dobro, ulegając jedynie przymusowi wewnętrznemu, — a tym przymusem wewnętrznym jest miłość. Człowiek trzeciej epoki (czy to nie wspanialszy człowiek od wszystkich nadludzi romantyków i modernistów?) sam sobie wytknie cel życia: tym celem będzie tworzyć dobro — dlaczego? jedynie dla tego, że będzie kochał. I ta miłość będzie mu prawem i zasadą wszystkich czynów, a zarazem prawem i zasadą jego wolności. Bo wolną wolą nie jest przecie możność czynienia wszystkiego, co się komu podoba, „bo wolność nie jest ani być nie może wiotką dowolnością, dającą się lada powiewem zewnętrznym tu albo ówdzie obrócić; wolność prawdziwa ma równie konieczność, jak przypadkowość w sobie

---

[1]) Kleiner, Zygmunt Krasiński, II, 82 n.

[2]) III, 286.

[3]) Żółtowski, j. w., 83.

samej i dopiero z owej wewnętrznej i istotnej konieczności wyprzędza, jak jej się podoba, pasmo zewnętrznych przypadkowości“ [1]). Cóż jest tą koniecznością? Właśnie m i ł o ś ć. Czy ta konieczność czyni człowieka niewolnym? Przeciwnie — wolnym: bo tej miłości *s*am człowiek chce. „Wszakże już duch jednostkowy, podmiotowy, jakim jest każdy w społeczeństwie człowiek, skoro prawem nieśmiertelnego ducha stanowi *sui juris* O s o b ę, nie zaś rzecz żadną *alieni juris,* jużci jest sam w sobie i przez się c e l e m, którego też nikomu ani na ś r o d e k obracać, ani w y z y s k i w a ć nie wolno: a przecież nieskończonemu uprawnieniu temu bynajmniej sam nie ubliża, owszem w duchownem dostojeństwie jedno wzasta, im się więcej sam z siebie bratnim duchom udziela, im się lepiej i skuteczniej zbiorowym zwłaszcza osobistościom rodu, narodu, ludzkości p o ś w i ę c a, słowem, im dzielniej i potężniej z w ł a s n e j w o l i służy społeczności Ducha... Wszakże w tem coraz doskonalszem uspołecznieniu, celem sam będąc, po wszelkich drogach i szczeblach żywota c e l c e l ó w ściga, do jego spełnienia własnym czynem się p r z y c z y n i a, a przez to dążenie własnego przeznaczenia tak dalece nie chybia, że go owszem d o p e ł n i a“ [2]).

Lecz te słowa znajdują się już nie w dziele O j c z e N a s z, tylko w rozprawie, przeznaczonej pierwotnie na wstęp do tego dzieła, ogłoszonej drukiem dopiero w roku 1869, w rozprawie ogromnie głębokiej, p. t. O d r o g a c h d u c h a. Bez jej uwzględnienia niepodobna dobrze wyjaśnić, co właściwie Cieszkowski pojmuje przez czyn.

Zadaniem czynu jest osięgnięcie socyalności, to znaczy zbudowanie Królestwa Bożego na ziemi. Otóż Duch ludzki zmierza do tego celu różnemi drogami, — stąd tytuł rozprawy. Różność zaś dróg ducha pochodzi z różności jego pierwiastków, którymi są: rozum, uczucie i wola. Kto poczytuje czyn za koronę działalności ludzkiej, ten królestwo wśród pierwiastków ducha musiał oddać woli; jakoż nazywa ją Cieszkowski „władzą nad władzami“, „szczytem ducha“: „ona czucie z wiedzą kojarzy i zaślubia z myślą byt, a z małżeństwa tego rodzi się c z y n, trzeci świata pan“ [3]);

---

[1]) I, 50.
[2]) I, 369.
[3]) I, 218.

co rozum pomyśli, co serce uczuje, to wola spełnia. Rozum dąży do prawdy, uczucie do piękna, wola realizuje prawdę i piękno. Wola nie tamuje działalności ani rozumu, ani uczucia; rozum i uczucie mają wolność w zakresie swojej działalności, ale wolność nie wyklucza pewnej wytycznej dla swej działalności; tę zaś wytyczną daje rozumowi i uczuciu dopiero wola, oczywiście dobra wola, dążąca do stworzenia dobra na ziemi. A więc: prawda i piękno przy całej swojej wolności otrzymują rozkazy, i to zupełnie dobrowolnie, od idei dobra. Dobro nie niszczy ani prawdy, ani piękna, nie wyłącza ich z królestwa ducha, przeciwnie łączy je w sobie; dobro jest wyższą jednością, obejmującą prawdę i piękno; prawda nie jest ani dobrem, ani pięknem, piękno nie jest ani prawdą, ani dobrem, lecz absolutne dobro jest zarazem absolutną prawdą i absolutnem pięknem [1]). Co to wszystko znaczy? Znaczy, że drogi ducha nie powinny biedz równolegle, tylko się skupiać w jednym punkcie, a tym punktem jest ideał najwyższego dobra czyli socyalności. Innemi słowy: wszystkie władze ducha, chociaż każda dąży do celów swoistych, powinny te cele upodrzędnić jednemu celowi głównemu, który ich wcale nie unicestwia, tylko je skupia; „drogi Ducha, choć rozliczne,... muszą być w jakikolwiek sposób z sobą styczne i spójne, nie zaś obojętne na siebie lub we wszelkim kierunku rozstajne“ [2]).

Otóż tę myśl o zjednoczeniu dróg ducha rozwija Cieszkowski w zastosowaniu całokształtu kultury ludzkiej. Czy poszczególne jej gałęzie powinny mieć byt zupełnie odrębny, niezależny? czy cele, do których dąży kultura umysłowa, estetyczna, religijna, moralna (w szerszem znaczeniu tego wyrazu, t. j. w znaczeniu budowy życia wogóle, a więc obejmująca w sobie kulturę społeczną, materyalną, polityczną), cele niewątpliwie swoiste, są celami ostatecznymi, celami w sobie? Jedni, o których można śmiało powiedzieć, że widzą drzewa, a nie widzą lasu, odpowiadają, że każda kultura, każda droga ducha jest celem sama w sobie; Volkelt np. naukę, sztukę, religię i moralność poczytuje za cztery równorzędne samowartości i nie chce nawet słyszeć o ich upodrzędnieniu jednemu pryncypowi [3]). Inni za najwyższą kulturę

---

[1]) Żółtowski, j. w., 79.

[2]) I, 355.

[3]) *System der Aesthetik*, tom trzeci, dział drugi, rozdział czwarty.

poczytują bądź intellektualną (Arystoteles, Spinoza), bądź estetyczną (romantycy niemieccy), bądź religijną (Fichte, Schleiermacher), bądź moralną (Lipps). Głośny dzisiaj myśliciel niemiecki, Rudolf Eucken, przy całym swym szacuunku dla wszystkich dróg ducha, zdaje sobie sprawę, że jednak one wszystkie zbiegać się winny w jednym ognisku, ale w jakiem, co właściwie Eucken rozumie przez swoje *Geistesleben*, tego, naprawdę, z ani jednego jego dzieła dobrze i jasno wyrozumieć nie można. Cieszkowski, którego filozofia jest do filozofii Euckena niewątpliwie podobna (o czem zapewne Eucken nie wie), jest nierównie wyraźniejszy, a raczej jest zupełnie jasny i wyraźny: za ostateczny cel wszystkich dróg ducha poczytuje stanowczo i bezwarunkowo „socyalność“, t. j. moralność, podniesioną do najwyższej potęgi, przenikającą wszystkie nauki i wszystkie sztuki; a że do sztuk i nauk zalicza Cieszkowski także sztuki stosowane i nauki praktyczne, więc domaga się, żeby wszystkie wogóle gałęzie kultury upodrzędniły się ideałowi socyalności. Jest więc Cieszkowski stanowczym przeciwnikiem głośnych i modnych w ostatnich czasach haseł „nauka dla nauki“, „sztuka dla sztuki“; nie, nauka nie jest dla nauki, sztuka nie jest dla sztuki, bo obydwie są — dla człowieka; a że najwyższym ideałem i najwyższem dobrem człowieka jest socyalność, więc i nauka i sztuka są tylko drogami, któremi duch ludzki kroczy ku socyalności. Czy może przez to kurczy się albo obniża zakres nauki i sztuki? Nie, odpowiada Cieszkowski, rozszerza się: „Wszelkie przedmiotowe drogi Ducha, aczkolwiek nieskończenie w sobie uprawnione, aczkolwiek same przez się celne, a więc na byle środki nie obracalne, przecież nie ujmy żadnej, ale owszem przyrostu własnej potęgi dostępują, ilekroć sama z siebie, nie przestając na sobie, we wzajemnej pomocy a spólnej służbie Ducha spółubiegają się i prześcigają“ [1]). A ta służba Ducha jest, pamiętajmy o tem, dobrowolną, więc nie jest żadną niewolą, więc żadnemu obcemu celowi nie służy: poezya Mickiewicza i Krasińskiego jest przesiąknięta ideałem socyalności, a jednak czy nie jest wielką, czystą poezyą? „Gdzież dopatrzysz się“ w ich „arcydziełach chociażby śladu sztuki dla sztuki? nie sobie te pienia pieją, ani też w sobie się lubują; o życie społeczne im chodzi, o nowe życie dla ludów i ludzkości...: a przecież któż

---

[1]) I, 369,

zaprzeczy, że jest w nich najwyższa sztuka? właśnie dlatego, że najwyższym zadaniom Ducha poświęcona“ [1]). Przeciwko powrotowi średniowiecznego służebnictwa nauki i sztuki wobec czegoś wyższego oświadcza się Cieszkowski stanowczo: co innego niewolne służebnictwo, a co innego wolna służba! Ale i przeciwko dokonanemu przez renesans wyzwoleniu sztuk i nauk z pęt średniowiecznego służebnictwa oświadcza się równie stanowczo: to wyzwolenie dało wprawdzie sztukom i naukom samodzielność, ale ta samodzielność była bez celu, była swawolą, nie wolnością; teraz dopiero będą miały samodzielność z celem, będą miały prawdziwą wolność. I jeszcze: „Kiedy... przemawiamy usilnie za religijno-obywatelskiem sztuk i nauk uspołecznieniem, za żywotnem skierowaniem ich własnych, a niezaprzeczalnych celów ku spólnemu wszego Ducha celowi, słowem za harmonijnem powiązaniem wszelkich dróg Ducha w wiekuistym stosunku do wiodącego ogniska, nikt nas zaiste nie posądzi o jakiekolwiek uwłaczanie tym samodzielnym Ducha potęgom, ani o nastawanie na ich wielebne, a nieodzowne wyzwolenie. Każdy owszem poczujc, domyśli się i uzna, że tu idzie nie o ich przygnębienie i poniżenie, ale jako żywo o ich podniesienie na wyższe, na płodniejsze, w pożytki obfitsze, w sobie dostojniejsze, a co zgoła niespodziewane, na wyzwoleńsze jeszcze, niż dotąd, stanowisko, bo górujące o tyle nad roszczonem dziś samowładztwem, o ile wszelkie uspołecznienie bądź ludów, bądź ludzi, góruje nad samopaśną, a więc swawolną tylko bezspołecznością, o ile np. unarodowienie samoistnych w sobie rodów albo też zjednoczenie w organiczną całość jednoplemiennych, a dotąd udzielnych państewek w stokroć wyższe, potężniejsze, pełniejsze, a nawet swobodniejsze wprowadza je życie od owego, na jakie stać ich“ *(sic)* „mogło, póki się przy luźnej udzielności (absolutności) na korzyść jakiejkolwiek prywaty upierały“ [2]).

Więc ostatecznie co pojmuje Cieszkowski przez czyn? Koordynacyę wszystkich dróg Ducha, t. j. całej kultury, a raczej nie koordynacyę, tylko subordynacyę, upodrzędnienie całej wogóle działalności ludzkiej jednemu celowi — socyalności, wiodącej do Królestwa Bożego na ziemi. Nakaz wewnętrzny, pracy do urze-

---

[1]) I, 379.
[2]) I, 382.

czywistnienia tego celu, to religia przyszłej ludzkości, religia, nad którą się obszernie rozwodzi Cieszkowski w tomie trzecim dzieła Ojcze Nasz.

Wszystkie dawniejsze religie poczytuje za tylko „przybliżone“; religia absolutna, ostateczna, „prawdziwa cześć i służba Boga zależeć tylko może na uprawie tego, czem sam „Bóg“ człowieka opatrznie opatrzył, co sam Bóg w duchu człowieczym jako wiecznie ludzkie założył; otóż wiecznie i absolutnie ludzkiem jest: piękne, estetyczne uczucie, z odpowiadającym mu tonem, prawdziwa, umiejętna myśl, z odpowiadającem jej słowem, dobra społeczna wola, z odpowiadającym jej czynem“ [1]). A zatem wierna i dobrowolna służba pięknu, prawdzie i dobru — oto absolutna religia! W takiej religii obrządkami, dogmatami i obowiązkami mogą być tylko obrządki, dogmaty i obowiązki Ducha. Więc co do obrządków, to wszelkie ceremonie, wszelkie „widowiska kościelne“ [2]) są człowiekowi niepotrzebne, a Panu Bogu obrzydłe: „Obrządkami Ducha nie może być nic innego, jedno sam wypływ czucia, sam objaw estetycznych sił Ducha, t. j. cały obszar sztuki, — organizm sztuk pięknych, uprawa i cześć piękności“ [3]). Co do dogmatów, wiara przybiera charakter wiedzy: „Dogmatami Ducha nie może być nic innego, jedno sam wypływ myśli, sam objaw teoretycznych sił Ducha, t. j. cały obszar nauki, — organizm wszystkich umiejętności, uprawa i cześć prawdy“ [4]). Co do obowiązków, zanikną wszystkie praktyki religijne: „Pobożnymi obowiązkami i działaniami religijnemi Ducha nie może być nic innego, jedno sam wypływ woli, objaw praktycznych sił Ducha, t. j. cały obszar społecznego życia, — organizm działań i obowiązków socyalnych, uprawa i cześć dobra powszechnego“ [5]).

Wobec tak pojętej religii, Kościół, jako odrębna organizacya, jest oczywiście niepotrzebna; to też Cieszkowski nie waha się wyprowadzić tego wniosku w mniemaniu, że Kościół będzie kiedyś równie zbędny, jak państwo, albo raczej, że się Kościół z państwem połączą w jedną harmonijną całość, utworzą jedną

[1]) III, 284.
[2]) III, 295.
[3]) III, 274.
[4]) III, 275.
[5]) Tamże.

„świętą rzeczpospolitą“, która będzie „panowaniem Bożem w świecie“ [1]).

Niejednemu zapewne przyjdzie na myśl, że, kto obrządki religijne ogranicza do kultu piękna, do zaspokajania potrzeb estetycznych, kto wiarę zastępuje wiedzą, kto wszystkie praktyki religijne usuwa na rzecz jedynie czynów, kto wreszcie poczytuje Kościół, jako odrębną instytucyę, za niepotrzebny, ten znosi, ten rujnuje wszelką wogóle religię. Myśleć tak byłoby nie tylko nie rozumieć myśli Cieszkowskiego, ale ją wypaczać, fałszować, a jego samego boleśnie krzywdzić. Człowiek, tak głęboko, jak on, religijny, nie mógł znosić religii. Znosił ją tylko pozornie: odmawiał jej „gdzieś na wieków późnej fali“ prawa do stanowienia odrębnej, tak często rosnącej samopas gałęzi kultury ludzkiej, bo pragnął, żeby ona była jej pniem, jej podstawą. Nie, nie tak, bo i toby jeszcze myśl Cieszkowskiego fałszowało: nie pniem, nie podstawą, tylko korzeniem, *spiritus movens* kultury ludzkiej powinna być religia; ona nie będzie mogła kiedyś być jedynie odrębnym strumieniem życia, ona będzie jego siłą żywotną, jego alfą i omegą, jego już nie tylko wielkim, ale całkowitym sensem, będzie — całem życiem, albo inaczej: całe życie będzie religią. „Religia — mówi Cieszkowski — jest powszechną spójnią ludzi i ludów, istną ich siłą i dźwignią; całe życie ludzkości jest wielką religią, a religia jest całem jej życiem; religia jest wszystkiem dla wszystkich“ [2]). Jeszcze inaczej: wszystkie bez wyjątku i myśli i uczucia i czyny powinny płynąć z religii i być przez nią uświęcone, w całem życiu ludzkiem powinien panować wszechwładnie, ale za zgodą, a raczej za przyczyną człowieka, Duch Święty [3]). „Religijne przesiąknienie wszelkich życia czynności,... uświęcenie spraw życia, a przeto używotnienie samej czci religijnej, jest samą naturą, samem przeznaczeniem człowieka, zrodzonego dla społeczeństwa, powołanego od kolebki rodu swego do społeczności Ducha Świętego i kroczącego ku niej słabymi dotąd i powolnymi, lecz ciągle postępowymi krokami“ [4]).

Zdawałoby się, że w tej idei, iż religia powinna przenikać całe życie, całą kulturę, w idei, która jest naczelną myślą, kwint-

---

[1]) IV, 144—147.

[2]) IV, 141.

[3]) III, 289.

[4]) III, 290.

esencyą i najwyższą pięknością dzieła Ojcze Nasz, — niema nic nowego, że myśl ludzka dawno już, dzięki św. Augustynowi, tę wielką zdobycz osiągnęła, że ta idea była, w teoryi przynajmniej, wytyczną całej kultury średniowiecznej, której wszystkie promienie zbiegały się w jednem ognisku — służby bożej. Tak, sama zasada jest niewątpliwie ta sama: wielkość idei kultury średniowiecznej polega właśnie na upodrzędnieniu jej wszystkich gałęzi jednej idei naczelnej. Ale, nie mówiąc już o tem, że ta zasada uległa wypaczeniu, że służba Bogu utożsamiła się jakoś ze służbą Kościołowi, a Kościół, jak z historyi wiadomo, bynajmniej nie zawsze Panu Bogu służył, pomijając i to nawet jeszcze, że kultura religijna bywała najczęściej, wbrew teoryi, jedną tylko odrębną gałęzią kultury ogólnej, a nie jej całkowitem drzewem, — zważmy, że Królestwo Boże pojmowały wieki średnie, jako zaświat, a stąd świat miały za coś marnego, przejściowego, i że przez to średniowieczna teorya kultury nosiła w sobie zaród śmierci. Odrodzenie go zniszczyło, kulturę odrodziło, używotniło, ale było to życie w znacznej mierze — bez Boga; bez Boga także, już w bardzo znacznej mierze, było i to nowe życie, które wlało w nią oświecenie. Romantyzm dopiero nie chciał żyć bez Boga: i oto romantyk Cieszkowski, nie tylko nie chcąc, ale wręcz nie rozumiejąc życia bez Boga, wprowadził go na powrót do przybytku kultury, ale ten przybytek zakładał już tutaj, na ziemi; pragnął, żeby Królestwo Boże, które wieki średnie budowały w niebie, wieki przyszłe zbudowały na ziemi, pragnął ziemię przekształcić w niebo... I wierzył, że się ta nowa epoka, epoka świadomej i dobrowolnej budowy Królestwa Bożego na ziemi, epoka „spełni ludów“ i braterstwa już rozpoczęła.

VII. Misya Polski.

Do przodowania zaś całej ludzkości w tej zbożnej pracy około budowy Królestwa Bożego na ziemi powoływał Cieszkowski swój własny naród i wogóle plemię słowiańskie: „Miłość chrześcijańską, dotąd prywatną, zamienić na publiczną i takową, do potęgi podniesioną jeszcze, od ludzi do ludów przywieść, — jest przeznaczeniem jego“ [1]). Motywuje zaś Cieszkowski tak swój pogląd

[1]) I, 226.

na misyę dziejową plemienia słowiańskiego nie inaczej, jak inni mesyaniści, a więc po pierwsze psychiką, a po drugie historyą słowiańską: tu i tam dopatruje się pierwiastków socyalności. Co jednak uderza w tej argumentacyi, że, mówiąc o psychice słowiańskiej, niedosyć ściśle rozróżnia epokę Słowiańszczyzny pogańską od chrześcijańskiej, a mówiąc o historyi, niedosyć wyraźnie wyodrębnia historyę polską od ogólno-słowiańskiej.

Co do psychiki, to unosi się Cieszkowski — zupełnie tak samo, jak dawniej Brodziński (i nie dziw: obydwaj powołują się na Herdera) i wogóle wszyscy słowianofile — nad różnemi zaletami plemienia słowiańskiego, jemu tylko właściwemi: było to plemię łagodne, nie lubiące wojny, chociaż do boju zawsze gotowe, chętne do niesienia pomocy innym narodom, załatwiające sporne sprawy polubownie, rozmiłowane w cichej pracy rolniczej, ale nadewszystko w wolności, którą poczytywało za rzecz „świętą i nietykalną“ [1]); na nieszczęście, pod złym wpływem narodów oświeconych, i Słowianie zaczęli gwałcić wolność, ale też za to sztraszliwie odpokutowali, poszli bowiem w niewolę do innych narodów, które ich imieniem nazywali niewolników wogóle. Nie wszystkie jednak narody poszły w niewolę: niektóre zorganizowały własne silne państwa. Otóż to wszystko, co Cieszkowski mówi o państwowości słowiańskiej, dotyczy już wyłącznie państwa polskiego. Mówi zaś o duchu ofiarności dla ojczyzny, unosi się (jak Mickiewicz w Prelekcyach paryskich i prawdopodobnie pod ich wpływem) nad tem, że wobec takiego ducha nie potrzebowała Polska stałego wojska, że mogła poprzestać na ruszeniu pospolitem. Główną jednak cechą dziejów Polski jest w oczach Cieszkowskiego, że dążyła do zrealizowania tych trzech wielkich ideałów społecznych, które są pierwiastkami składowymi socyalności, to jest do równości, braterstwa i wolności. Że istotę prawdziwej równości głęboko zrozumiał naród polski, o tem świadczy już przysłowie: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, mające to znaczenie, że prawdziwa równość nie tylko nie wyłącza różnic, ale je, przeciwnie, uprawnia [2]). Nie mniej głęboko zrozumiał naród polski istotę braterstwa, zrealizował je nawet w obrębie jednego stanu, a do realizacyi zupełnej przeszkodził mu jedy-

---

[1]) I, 227.
[2]) II, 166.

nie przedwczesny upadek. A i wolność pojmował naród polski zrazu rozumnie i przez wieki całe cieszył się zdrową wolnością, „póki jej tak zwanem *liberum veto* nie przedrzeźnił, póki się nie dał uwieść na pokuszenie upickim, a wkrótce o zgubę przyprawić targowickim liberalistom“ [1]). Nie zapomniał, oczywiście, Cieszkowski i o tem, że państwo polskie stanęło nie podbojami, tylko dobrowolnemi uniami, ani o tem, że się z pośród państw europejskich jedna tylko Polska zdobyła na tolerancyę religijną. Wnioskiem tych rozstrząsań jest, że zarówno w psychice, jak w historyi Słowian, a właściwie Polski, są bądź w zarodku, bądź już w rozwinięciu (chociaż przedwczesnem) wszystkie wogóle pierwiastki przyszłego ustroju świata w jego trzeciej epoce.

Nadto Słowiańszczyzna, albo raczej tym razem już tylko Polska, ma jeden jeszcze tytuł do wielkiej misyi: upadek polityczny. Bo dopiero w upadku i dzięki upadkowi Polska uświadomiła sobie swoją misyę, obowiązek przyświecania całemu rodzajowi ludzkiemu anielskim przykładem, walczenia z podłością świata, przewodniczenia pod względem moralnym wszystkim innym narodom [2]). A dlaczegoto Polska, choć lepsza od innych narodów, upadła, a inne narody nie? Bo jest narodem wybranym, „bo im komu więcej dano, tem więcej się od niego wymaga, a im komu więcej przeznaczono, tem więcej temu dosłużyć się potrzeba“ [3]); Polska jest wybraną przez Boga „ofiarą“ [4]) — „na odkupienie politycznych grzechów świata“ [5]). „Przyjmijże, potępiony dotychczas rodzie — zwraca się Cieszkowski już do całej Słowiańszczyzny — dobre nowiny zbawienia! Wiedz o tem, że naród, który na domiar nieprawości, a na odkupienie politycznych grzechów świata, poniósł śmierć męczeńską, — wstąpił do piekieł niewoli i przemógł ich wrota. A zmartwychwstając w chwale Ducha objawia ci, że spełniły się czasy, — a z nimi twoja wybiła godzina; żeś już sam przebył twój czyściec niewoli i że nadmiarem cierpienia zasłużyłeś sobie na to u Boga, abyś erę wolności samemu

[1]) Tamże.

[2]) Pierwiastków socyalności dopatruje się Cieszkowski nie tylko w historyi, ale i w literaturze polskiej, w poezyi Mickiewicza i Krasińskiego, w nauce Kopernika I, 379, 381.

[3]) I, 229.

[4]) Tamże.

[5]) I, 230.

światu zwiastował i ludzkości całej do raju swobody przewodniczył“ [1]). To znaczy: dopiero Polska wprowadzi Słowiańszczyznę do wielkiej kuźnicy Królestwa Bożego na ziemi, a cała już Słowiańszczyzna pociągnie za sobą do tego świętego przybytku cały ród ludzki. Zacznie zaś to przewodnictwo od tego, że obdarzy wolnością wszystkie już stany, i to będzie hasłem do obdarzenia błogosławieństwem wolności ludów całego świata [2]).

VIII. Wartości moralne dzieła.

Przez myśli o posłannictwie Polski i Słowiańszczyzny Ojcze Nasz Cieszkowskiego należy do naszej historyozofii mesyanistycznej; co więcej jest tej historyozofii najwspanialszym wyrazem, nie żeby te wszystkie myśli były nowe (znano je przecie i głoszono przed rokiem 1848!), ale że nikt przedtem, nie wyłączając Krasińskiego i Trentowskiego, nie osnuł ich na tak szerokiem tle historyozoficznem.

Lecz nie w doktrynie mesyanizmu polskiego tkwi środek ciężkości dzieła Ojcze Nasz, tylko w idei o przyszłych losach całej ludzkości. I można śmiało powiedzieć o tem dziele (co jest w naszej literaturze, posiadającej tak wyraźną cechę wyłączności narodowej, wielką rzadkością), że ma charakter nadewszystko ogólno-ludzki, i to w tym stopniu, co ze stanowiska rozległości widnokręgów ideowych ani jedno zresztą dzieło naszej literatury, nie wyłączając ani Rodu ludzkiego Staszyca, ani Nieboskiej Komedyi Krasińskiego, ani Duchów Świętochowskiego. O dziele Cieszkowskiego w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu powiedzieć wolno, że „ludzkości całe ogromy przenika z końca do końca“; mierzyć się z niem mogą jedynie Prelekcye paryskie Mickiewicza.

O wartościach filozoficznych dzieła Ojcze Nasz niech rozstrzygają filozofowie. Tutaj niechaj wolno będzie, na zakończenie tego szkicu, którego zadaniem była nie analiza naukowa, lecz jedynie uwydatnienie charakteru i głównych myśli dzieła, rzucić na nie jeszcze okiem ze stanowiska wartości moralnej.

---

[1]) I, 230.

[2]) I, 250—251.

Aby uczyć, jak żyć, trzeba przedewszystkiem uznawać i odczuwać wartość życia, jego sens: otóż całe dzieło Cieszkowskiego, od początku do końca, w idei przewodniej i we wszystkich poszczególnych cząstkach i cząsteczkach, jest jedną wielką afirmacyą wartości życia, jednym wielkim hymnem poetyckim na jego cześć, — i dlatego jest w całem znaczeniu tego wyrazu księgą religijno-moralną. Życie według Cieszkowskiego jest w istocie swojej dobrem i coraz bardziej świadomie i dobrowolnie dąży do realizacyi największego ze wszystkich dóbr, którem jest moralność chrześcijańska, podniesiona do najwyższej potęgi, to jest do „socyalności". Dzisiaj to największe dobro jest tylko ideałem; prawda: ale czy ideał jest tem samem, co chimera? Nie, odpowiada Cieszkowski, ideał, to „wiekuista prawda, spoczywająca dotąd w głębi myśli, w nas samych", lecz „mająca kiedyś stać się i dla nas i czynem i ciałem" [1]). Albo czy może ideał jest tem samem, co utopia? Także nie: „co dotąd i dziś jeszcze utopią zdawać się może, jutro już może nią nie być". Czy dla ludzi pierwszej epoki, ludzi natury, mogła być jaka większa utopia od etyki chrześcijańskiej, która wypowiedziała naturze walkę? A jednak przed tą utopią runął „cały świat starożytny z całą rzeczywistością, z całą okazałością swoją i granitową na pozór trwałością" [2]). „Przyjdź Królestwo Twoje" — kazał nam się modlić Jezus Chrystus: skoro się nam kazał o nie modlić, to tem samem zaręczył, że je osiągniemy; modlitwa bowiem jest niczem innem, tylko „przyszłością, z nas samych... wysnutą i od nas pochodzącą", „jest wewnętrzną samego ducha tęsknotą, jego ciągłem dążeniem i celem" [3]). I ten cel człowiek osiągnie, zbuduje Królestwo Boże już tutaj, na ziemi, i „żaden Cherubin z ognistym mieczem nie wzbroni mu ...wejścia; raczej za nami walczyć będzie, jeśliby u samych wrót jeszcze walczyć przyszło" [4]). Niech tylko człowiek uwierzy, że to Królestwo przyjdzie, a raczej, że on sam własnym czynem zmusi je do przyjścia! Niech się nie zniechęca błędami, popełnianymi przez ludzi w tym ich wspaniałym pochodzie, pamiętając, że „same błędy, byle tylko w dobrej wierze powstałe, są szczeblami do

---

[1]) II, 392.
[2]) IV, 122—123.
[3]) I, 24.
[4]) I, 210.

prawdy“ [1]); że ani jeden czyn, byle tylko z dobrej woli powstały, nie pójdzie na marne; że drogi, któremi kroczy Duch ku realizacyi swej modlitwy, „nie są... manowcami błędnika, ale owszem krętemi wprawdzie i stromemi ścieżkami, wiodącemi do celu, — do świątyni, do Ziemi Obiecanej!“ [2]); że nawet złe, to także tylko stopień do postępu, do zobaczenia tej Ziemi Obiecanej. Prawda, że ten postęp odbywa się bardzo powoli, skoro np. „równość, ogłoszona w obliczu Boga, ośmnastu wieków potrzebowała, by się rozwinąć w obliczu prawa“ [3]): nie mniej przeto się odbywa. Odbywa się, bo sam Bóg tego chce, bo takie jest prawo świata, prawo konieczności. Niechże człowiek w to uwierzy, ale niech czasem nie myśli, że się ta konieczność stanie bez jego udziału, bez jego wolnej i dobrej woli, bez jego czynu.

„Idź i czyń — czyń ciągle i bez wytchnienia“, mówi do swego narodu Krasiński: to jego przykazanie patryotyczne. To samo mówi Cieszkowski — do wszystkich ludzi i to jego przykazanie religijne. A religia to dla niego — wszystko, to „dusza wszechświata“, to „nerw całego duchowego istnienia“, bo to „spójnia społeczeństwa“; bez religii ludzie „byliby... prochami“; „religia dopiero... nie tylko nas z Bogiem łączy i kojarzy, ależ jeszcze nas samych z sobą i między sobą w społeczeństwo spaja“ [4]); każda bez wyjątku „czynność, czy to estetyczna, czy też polityczno-socyalna, każde powołanie, czy artysty, czy nauczyciela, czy urzędnika“ [5]), powinno płynąć z religii, z wolnej i dobrej, ożywionej miłością woli do budowania Królestwa Bożego; wszystkie czyny człowieka powinny tak oddychać religią, jak jego piersi powietrzem.

To zaś Królestwo Boże, które buduje człowiek, jest innym światem, jak Królestwo natury. „Wyróść... naprzód ze stanu natury, w samem jego łonie się wykształcić, — następnie stan natury stanowczo przewalczyć, znieść i od siebie odrzucić, — a nakoniec ten stan natury napowrót sobie przyswoić, t. j. nie zstępować napowrót do niego, ale owszem przez asymilacyę wznieść go do siebie i już nie za obcą sobie potęgę, ale za własny

---

[1]) III, 311.
[2]) I, 202.
[3]) II, 160.
[4]) III, 242.
[5]) III, 295.

organiczny żywioł użyć i sobie, jako odrodzoną naturę, przywłaszczyć“ [1]): oto zadanie ludzkości. I kiedyś dokona ludzkość wielkiego cudu, — stworzy Królestwo Ducha, Królestwo Boże, w którem znajdzie się miejsce i na naturę, ale już uduchowioną.

Te zaś myśli swoje cudowne wypowiada i rozwija Cieszkowski z taką pewnością majestatyczną, z taką wiarą świętą i głęboką w przyjście Królestwa Bożego, że się ona udziela każdemu, kto ma Boga w sercu, że się dusza ludzka (jakby powiedział Asnyk) „rozprzestrzenia“ i napełnia nietylko platoniczną miłością ideału, ale i czynną miłością obowiązku, od którego spełnienia zależy realizacya tego ideału. A jednocześnie na pełnia się dusza nienawiścią złego, oburzeniem przeciwko temu wszystkiemu, co jest fałszywą cywilizacyą, to znaczy przeciwko temu wszystkiemu, co nie jest z Jezusa Chrystusa.

Oto, na czem polega wartość moralna dzieła Ojcze Nasz!

W przedmowie do tomu trzeciego woła Cieszkowski do Boga: „Egzaltacya Twoja, egzaltacya ludzkości, egzaltacya całej natury... oto są cele moje. Zapalenie serca, — oświecenie wiedzy, zahartowanie woli, kierowanie działaniem ludzkości... oto będą środki moje. Bodźce święte... cele święte... środki także święte. Pobłogosław im, Boże!“

I Bóg pobłogosławił. Nie był Cieszkowski tym Duchem Pocieszycielem, za którego się poczytywał: ale był głębokim myślicielem, a oprócz tego był ogromnie szlachetnym i do szpiku kości religijnym człowiekiem-chrześcijaninem. To też jego Ojcze Nasz nie jest wprawdzie, jak mu się zdawało, objawieniem objawienia: ale jest wspaniałą księgą mądrości i zarazem miłości, księgą, o której śmiało powiedzieć można, że, gdyby miała posłuch w umysłach i sercach, a nadewszystko w dobrej woli, toby ta święta modlitwa o przyjście Królestwa Bożego, którą przez tyle już wieków zanoszą do Boga miliony ust i serc chrześcijańskich, przestała być nakoniec modlitwą błagalną, a stałaby się dziękczynną i — wielbiącą.

---

[1]) I, 56--57.

Ign. Chrzanowski.

Odrodzenie zasady narodowości.

Dnia 5. listopada 1916 r. została ogłoszona, równocześnie w Warszawie i Lublinie, proklamacya, która w rozwoju sprawy polskiej w ciągu obecnej wojny będzie stanowiła pierwszorzędną datę. Po raz pierwszy jedna ze stron wojujących wydała uroczystą zapowiedź utworzenia państwa polskiego. Radości z powodu tej proklamacyi, odczuciu ważności obecnej chwili dała silny wyraz prasa codzienna, uczczono ten moment licznymi oficyalnymi uroczystościami, zorganizowanymi zarówno w Galicyi, jak i na terytoryum okupowanem. Pismo miesięczne nie może tak jak dziennik podążyć za wypadkami, dlatego musi wstrzymać się od konkretnego i szczegółowego omawiania nawet tak ważnych wydarzeń. Wypadki idą tak szybko, ukazują się coraz to nowe postanowienia, uzupełniające i wyjaśniające charakter zasadniczej proklamacyi, tak że nawet najstaranniej wybrany materyał może się okazać przestarzałym i niezupełnym już po krótkim okresie czasu. Naszem zadaniem jest oświetlić całą sprawę z szerszego stanowiska, oderwanego od codziennej aktualności politycznej, wyśledzić, jakim zasadniczym ideom dają wyraz te niezmiernie doniosłe postanowienia. Przedtem jednak uprzytomnijmy sobie prawno-polityczną treść tych aktów, opierając się na tekstach proklamacyi i urzędowych, względnie półurzędowych wyjaśnieniach, które je uzupełniają.

* * *

W ciągu wojny nie może oczywiście być wydanym akt, któryby na terytoryum okupowanem, prawnie należącem ieszcze do strony nieprzyjacielskiej, stwarzał nowy, definitywny stan prawny. Ogłoszona proklamacya zawiadamia tylko ludność na zajętem terytoryum, że sprzymierzeni monarchowie postanowili z tego tery-

toryum utworzyć „samodzielne państwo polskie z dziedziczną monarchią i ustrojem konstytucyjnym“. Mamy tu więc określoną odrazu zasadniczą formę konstytucyjną przyszłego państwa. Ogólnie zaś wyjaśnioną jest kwestya granic, a to w tej postaci: „dokładniejsze oznaczenie granic Królestwa Polskiego zostaje zastrzeżone“. Określenie granic zależy oczywiście częściowo od wyniku wojny, ale, o ile chodzi o objawienie woli miarodajnych czynników na przyszłość, nietylko od wyniku wojny. Wyrażenie, ze przyszłe państwo ma być utworzone „z ziem polskich“, nie daje co do tego stanowczej wskazówki, gdyż ziemie polskie można pojmować zarówno w historyczno-kulturalnem, jak i etnograficzno-statystycznem znaczeniu. Pewne wyjaśnienie natury negatywnej znajdujemy w urzędowej „*Kownoer Zeitung*“, która zapowiada na później osobne uregulowanie sprawy Litwy.

Pojęcie samodzielności państwowej nie wyklucza oczywiście istnienia prawno-państwowego związku takiego organizmu z innem, w pełni udzielnem państwem. Związek ten zapowiada proklamacya: „Nowe Królestwo znajdzie w połączeniu z obu sprzymierzonemi mocarstwami rękojmię swobodnego rozwoju swych sił“. Równocześnie bar. Burian określił tę rzecz dokładniej, odpowiadając na postulaty, przedstawione przez 7 warszawskich polityków i działaczy społecznych, mówiąc, że przyszłe Królestwo „uzyska gwarancyę swojego istnienia w ścisłej łączności z obu mocarstwami centralnemi, zarówno pod względem politycznym, jak i wojskowym“; podobnie kanclerz Rzeszy, Bethmann-Hollweg, wyraził się o państwie polskiem, „silnie opartem o mocarstwa centralne, zwłaszcza pod względem wojskowym“. Prawno-polityczna istota tego stosunku jest niewyjaśniona, tylko co do kwestyi armii polskiej znajdujemy w proklamacyi postanowienie, że „sprawę organizacyi, wyćwiczenia i kierownictwa armii ureguluje się na mocy wspólnego porozumienia“.

Wyraźnie podkreślono, że definitywnie to państwo może być utworzone dopiero po zawarciu pokoju; na razie będzie się wznosić stopniowo jego podstawy. Wypowiedział to wyraźnie bar. Burian, zapowiadając przytem, że po zawarciu pokoju będą mogły rządy państw centralnych oddać państwo w ręce Polaków. Intenzywna praca rozpoczęła się nad organizacyą armii, co do której zjawił się już szereg rozporządzeń obydwu jenerał-gubernatorów.

* * *

Po tych kilku rzeczowych informacyach spojrzyjmy na tę sprawę z szerszego punktu widzenia. Zapytajmy się, jakie jest dziejowe znaczenie tych aktów. Jedno z pism neutralnych na wiadomość o nich wyraziło w ten sposób: a więc mamy już cel wojny. Wyrażenie to jest nieścisłe. Poruszenie sprawy polskiej i jej uregulowanie nie było celem wojny. Kanclerz Rzeszy wyznał otwarcie: „państwa centralne nie miały zamiaru poruszać sprawy polskiej — poruszył ją los bitew“. Nikt wojny o Polskę nie toczył, ale gdy się już wojna zaczęła, niepodobna było zepchnąć z porządku dziennego sprawy polskiej. W poruszeniu tej sprawy widać ponowny, wzmożony przejaw jednej wielkiej idei, która potężnem swem tchnieniem przeobraziła kartę Europy w połowie XIX. wieku, doprowadzając przedewszystkiem do zjednoczenia Niemiec i Włoch. Jest to odrodzenie zasady narodowości, której służyli i którą się posługiwali różni ludzie w różny sposób: zarówno Ludwik Napoleon jak i Garibaldi, zarówno Cavour jak i Bismarck. Idea ta głosiła, że każdy naród ma prawo do własnego bytu państwowego. Po r. 1870 zeszła ona z porządku dziennego, poprostu zapomniano o niej, mimo, że byt naszego narodu był i nadal najjaskrawszem tej idei zaprzeczeniem. Zjawiły się doktryny, które apoteozowały polityczny *status quo*, wymagano od narodów, pokrzywdzonych przez dzieje, by zrezygnowały ze swych aspiracyi, uczeni skonstruowali teoryę narodów, niezdolnych do własnego bytu państwowego.

Wojnę obecną wywołał imperyalizm wielkich potęg światowych. Teoretycznie raczej podniesiono ideę „małych narodów“, jako jeden z celów wojny. Znaleźli się nawet tacy, którzy mówili, że zasada narodowości jest już martwą, pozbawioną siły burzycielskiej i twórczej w obecnej wojnie. Tymczasem dzięki swej wewnętrznej sile ta idea znów wydobywa się na powierzchnię po kilkudziesięcioletniem zapomnieniu i wypadki dziejowe wlewają w nią nowe życie. Coraz widoczniejszem się staje, że wojna nie może się skończyć bezwzględnem wytępieniem jakiegoś narodu, lub też jakimś półrezultatem, określonym przez czysto militarne zdarzenia. Trwały pokój może być zbudowanym tylko na gruncie uwzględnienia praw tłumionych dotąd narodów. Bo jeżeli ta wojna przez lekceważenie tych praw na jakimkolwiek terenie zostawi zarzewie nowych walk, to choćby w dalekiej przyszłości, wybuchnie ono nowym płomieniem. Przebudowanie Europy do reszty

w myśl idei narodowości musi przedewszystkiem zaczepić o Polskę, o naród z góry dwudziestomilionowy, mieszkający na własnem terytoryum, a dziś na trzy części podzielony. Oczywiście rozstrzygnięcie sprawy tak ważnej nie może nastąpić odrazu, przejdzie ono wiele jeszcze stadyów, zanim nastąpi zupełne jej uporządkowanie.

W każdym razie już teraz znajduje potwierdzenie siła idei narodowej, jej niezniszczalność mimo wszelkie wysiłki przemocy. Bardzo ciekawych analogii dostarcza okres lat 1848—1870, w ciągu którego dokonało się zjednoczenie Niemiec i Włoch. Był to okres ciągłych wojen, w trakcie których realizowała się etapami zasada narodowości. Próbowano ją pogodzić choćby częściowo z dawnym porządkiem rzeczy, zadowolnić dążenia narodowe częściowemi ustępstwami. Ale takie połowiczne załatwienia nie miały trwałego bytu, gromadziły tylko materyał do nowych walk. Dopiero gdy w r. 1870 Prusy przez zwycięstwo nad Francyą umocniły swoje przodujące stanowisko w Rzeszy niemieckiej, gdy w tymże roku wojska włoskie wkroczyły do Rzymu, dopiero wtedy mógł nastać pokój. Zakłócały go narodowe dążenia na bałkańskim półwyspie, który stopniami wyzwalał się z pod ottomańskiej przewagi; były to dążenia narodów małych, słabych, pozbawionych wielkich przeszłości i kultury, a mimo to stały się one jedną z głównych osi polityki międzynarodowej. Słowem, zasada narodowości dotyczy nietylko silnych, lecz i słabych; wymaga nietylko formalnego uznania, nietylko symbolu, lecz dąży do pełnej realizacyi, chce tworzyć państwa, naprawdę skupiające na ród, zdolne pod każdym względem do samodzielnego bytu.

Czy wojna obecna jest początkiem nowego okresu wojen, czy też przyniesie trwały pokój? Trudno bawić się w przepowiednie i sięgać śmiałemi przypuszczeniami w zbyt daleką przyszłość. W każdym razie jednak wszystko wskazuje na to, że taka wojna nie rychło się powtórzy. Trwa ona zbyt długo, by ją można było co kilka lat ponawiać. W bez porównania wyższym stopniu, niż wszystkie dotychczasowe wojny, pochłania ona wszystkie siły społeczne, duchowe i materyalne. Długiego czasu będzie trzeba, by jako tako podnieść się z pod ciosów, zadanych przez obecną wojnę. Jej dzieło, choćby siłą bezwładności, będzie miało byt długotrwały. To też naiwne są nadzieje tych, którzy już z góry pocieszają się, że jeżeli obecna wojna nie spełni ich postulatów,

to niewątpliwie następna rychło dokończy tego dzieła. Mogą oni zbyt długo czekać. Trzeba się poprostu z tem liczyć, że dzisiejsza wojna przyniesie stanowcze rozstrzygnięcia, że musi spełnić te zadania, które przy dawniejszych warunkach militarnych i politycznych rozkładały się na cały cykl wojen i innych międzynarodowych zatargów.

Jeżeli się przypisuje idei narodowości pierwszorzędne znaczenie w likwidacyi obecnej wojny, to nie trzeba w tej idei widzieć jakiegoś cudownego talizmanu, który uzdrawia narody i przywraca im pełny byt, bez względu na ich dążenia i polityczne działania. Naród dotąd pozbawiony państwa nie może wziąść samoistnego udziału w wojnie; nie mniej jednak nie jest on bierną masą, ma możność wpływania na bieg wydarzeń i do pewnych granic (ale tylko do pewnych granic) sam swój los może określić. Znów sięgnijmy po analogie historyczne. Pierwszorzędnym czynnikiem, który w znacznej mierze doprowadził do utworzenia Rzeszy niemieckiej i Królestwa włoskiego, była silna, potężna wola narodu niemieckiego i włoskiego; było pragnienie pełnego, wspólnego bytu, które nie znało żadnych przeszkód, żadnych traktatów i żadnych dyplomatycznych czy wojskowych trudności. Wola ta nie staje nigdy w połowie drogi, choć chcą ją zatrzymać okoliczności zewnętrzne. Stwierdza to wiele przykładów historycznych, z których najwymowniejszymi może są wypadki we Włoszech po wojnie r. 1859. Ludwik Napoleon, oficyalny obrońca zasady narodowości i promotor zjednoczenia Włoch, chciał jednak w części tylko zaspokoić aspiracye włoskie. Traktat pokojowy zawarty w Villa Franca, przyłączał do Włoch tylko Lombardyę, a w środkowych Włoszech chciał restytuować władzę dawnych panujących, których ruch narodowy stamtąd przepędził. Przeciwko temu traktatowi wystąpiła wśród narodu włoskiego fala powszechnego oburzenia, która nawet na jakiś czas odsunęła Cavoura od władzy. Ostateczny rezultat przerósł znacznie granice, określone przez ów traktat pokojowy. W roku 1861 król Sardynii ogłosił się królem Włoch i z dumą mógł patrzeć na swoje królestwo, które w ciągu tego okresu czasu wzrosło z 5 milionów na 22 milionów ludności.

W parze z tem zasadniczem bezwzględnem stanowiskiem narodu, który nie godzi się na zepchnięcie swego losu do rzędu jakiejś partykularnej sprawy, musi iść żywe poczucie odpowiedzialności politycznej, zarówno u całego narodu, jak i u jego mniej

lub więcej powołanych przedstawicieli. Obok zapału Garibaldiego naród musi zdobyć się i na przezorność Cavourów. Musi ogarnąć całą sytuacyę i zapanować nad nią, a nie dać się porwać wypadkom.

Punktem wyjścia musi być pełne uznanie międzynarodowego charakteru sprawy polskiej. Jest to jedynie mocna podstawa, na której możemy budować naszą przyszłość. Ludzie nawet obcy uznają, że jedną z dalekich, ale mimo to głównych przyczyn obecnej wojny był rozbiór Polski. Jej restytucya jest warunkiem normalnego układu życia politycznego Europy. Uregulowanie sprawy polskiej nie tkwi w czyimś przelotnym interesie, lecz jest warunkiem trwałego porządku dziejowego. Nie jest ono przypadkiem, wywołanym tą lub inną konjunkturą wojenną, lecz historyczną koniecznością. Sprawa polska nie jest czyjąś sprawą wewnętrzną, za jaką chciała ją uważać naprzykład opinia rosyjska, lecz jedną z najbardziej międzynarodowych kwestyi. To też jeżeli rozstrzygnięcie sprawy polskiej ma tak wybitny międzynarodowy charakter, to do tego postulatu muszą dostosować się wszelkie dążenia i zabiegi polityczne.

W. Karniowski.

Królestwo Galicyi w roku 1869.

Bismarck, który wyznawał zasadę *„nunquam retrorsum“*, niepokoił się nieraz, że Austrya odstąpi od tej zasady co do Galicyi w wypadku wskrzeszenia państwa polskiego. Obawy te występowały u Bismarcka szczególnie w chwilach konfliktu między Austryą a Rosyą. Bał się o to już w czasie wojny krymskiej, kiedy to Austrya w obawie o los państewek nad Dunajem zamyślała zaszachować Petersburg kwestyą polską. Wówczas to Bismarck wyrażał swe obawy w liście do pruskiego jenerała Manteufla (25. lipca 1854 r.), w liście, w którym jednak umiał wyrozumieć i usprawiedliwić ten krok Austryi.

„Sądzę — pisał — że gdyby Austryi dano do wyboru księstwa naddunajskie i Galicyę, to Austrya wolałaby księstwa naddunajskie, gdyż to kraj o wiele korzystniejszy dla Austryi niż Galicya, leżąca poza Karpatami, przyczepiona niejako do państwa. Galicya ma granice odsłonięte, stąd dostępna dla najazdu rosyjskiego i dla wszelkich powstań polskich. Przywrócenie Polski niepodległej przedstawia korzyść dla państwa austryackiego. Kładzie się przez to granice rozrostowi panslawizmu, gdyż będą istnieć dwa silne mocarstwa słowiańskie różnej wiary i narodowości. Polska przywrócona do niepodległości przez Austryę, będzie jej stałym i wiernym sprzymierzeńcem. Odbudowanie Polski jest dla Austryi jedynem zabezpieczeniem przeciw Rosyi, gotowej pomścić się każdej chwili“ (zob. szerzej Tatiszczew, Dyplom. 20—21).

Podobna myśl po raz drugi wznowiła się w czasie powstania styczniowego. Wówczas podsunął ją Austryi Napoleon III., proponując podobnież za odstąpienie Galicyi księstwa naddunajskie lub podobną rekompenzatę (Filipowicz, Korespond. Nr. 324). Spo-

tkał się jednak w Wiedniu z odmową. Austryacki minister spraw zagranicznych, Rechberg, w poufnej rozmowie z ambasadorem angielskim zwierzył się, że Austrya niema zamiaru prowadzić wojny w obronie powstania, aby w rezultacie stracić Kraków i Galicyę, „jedną z najlepszych prowincyi", i dodał:

„Wszak narody zazwyczaj nie prowadzą wojen na to, aby coś stracić, a toby był dla Austryi rezultat nie do uniknienia w razie wojny powodowanej dla polskich interesów" (zob. szerzej Filipowicz, Koresp. Nr. 188).

Podobne wiadomości otrzymał Bismarck od swego ambasadora z Wiednia, od Werthera.

Ten donosił, że „Austrya zdecydowała się zatrzymać Galicyę, ten bogaty i obfity w płody kraj, że nigdy nie popierała i nie myśli popierać na przyszłość zasad narodowości i że wogóle nie chce się wdawać w awanturniczą politykę rozdarowywania własnych terytoryów" (Filipowicz, Koresp. Nr. 396).

Zresztą wiadomość o tej ostatecznej decyzyi Austryi doszła i do emigracyi polskiej w Paryżu przez list hr. Gołuchowskiego, który przestrzegał rodaków, że Austrya Galicyi nie odstąpi na rzecz Polski niepodległej, bo wszak dlatego zajęła Bukowinę, aby wraz z Galicyą stanowiła zasłonę zabezpieczającą dla Węgier (Koźmian III, 49).

Myśl odstąpienia Galicyi, odrzucona w czasie klęsk powstania styczniowego, zmartwychwstała jednak ponownie w kilka lat później w przeddzień wojny francusko-pruskiej. Wówczas to Beust, austryacki minister spraw zagranicznych, marzący o odwecie za Sadowę, gotował się do walki z Prusami w sojuszu z Francyą i z Włochami, a spodziewając się, że z pomocą Prusom pójdzie Rosya, umyślił cara zabawić znów powstaniem polskiem i ogłosić królestwo — w Galicyi. Co prawda, Beustowi psuli całą robotę Węgrzy, którzy zyskali na Sadowie i nie chcieli odwetu na Prusach. Na tej drodze też dowiedział się zapewne coś o tych planach ambasador północno-niemiecki w Wiedniu Werther i doniósł (4. maja 1869 r.) Bismarckowi (Wertheimer, J. Andrassy 1910 I, 478), że Beust „w razie ostatecznych ewentualności chce utworzyć z Galicyi niepodległe królestwo", a za stratę tej prowincyi Austrya ma otrzymać odszkodowanie przez zajęcie „pewnych" krajów naddunajskich. Przewidywał przy tem Werther, że napotka to na opór ze strony Węgrów, gdyż przyłączenie niewęgierskich kra-

jów w miejsce Galicyi zmniejszyłoby ich wpływ (na rzecz Rumunów). Pomysł rekompensaty nad Dunajem, przypominający podobne projekty z r. 1863, nasuwa przypuszczenie, że rzecz cała była ułożona i tym razem również w porozumieniu z Napoleonem III. i tak też to zrozumiał Bismarck. „Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną — pisał Bismarck do Werthera (11. maja 1869 r. lc. 479) — że Beust żywi takie plany (co do Galicyi) i że uważa je za poważne ogniwo w swej polityce aliansu z Francyą“. Co do Węgrów jednak wykazywał, że Beust w razie zwycięstwa Austryi nie potrzebowałby się tak bardzo liczyć z ich uporem, bo wówczas obaliłby poprostu ugodę z r. 1867, albo też mógłby nawet rekompensaty za Galicyę poszukać sobie raczej w Niemczech, aniżeli nad Dunajem“.

W tej ciekawej odpowiedzi dodaje Bismarck: „Myliłby się ktoby sądził, że takie królestwo (galicyjskie) nie byłoby zdolne do rozwoju *(„lebensfähig“)*. Jest tylko kwestya, czy już same pierwsze próby utworzenia takiego królestwa w Galicyi (choćby pod osłoną austryackiej granicy) nie zdołałaby Rosya zaraz zneutralizować i sparaliżować przez jakąś akcyę przeciwną *(„Gegenbewegung)*. Nawet gdyby Austrya utworzyła takie państwo z arcyksięciem jako królem w tym celu, aby się niem posłużyć jako straszakiem *(Schreckbild)* dla sparaliżowania Rosyi, to to obliczenie — pisze Bismarck — byłoby fałszywe. Albowiem na to trzebaby koniecznie takich dogodnych warunków, jakie były w r. 1830. Tymczasem teraz (tuż po r. 1863) Rosya w swoich polskich krajach jest w stanie natychmiast zdusić powstanie, zanimby się jeszcze rozwinęło. A więc Prusy — konkluduje Bismarck — nie potrzebują się lękać takich planów hrabiego Beusta“.

Planów tych dokładnie oczywiście nie znamy, a tylko ten list Bismarcka przytoczony w świeżem dziele Wertheimera o Juliuszu Andrassym rzuca na nie trochę światełka.

Że jednak wówczas w Wiedniu poważniej liczono się z myślą odstąpienia Galicyi, dowodem tego memoryał owoczesnego ministra wojny barona v. Kuhn'a z pierwszej połowy r. 1870. Kuhn przypuszczając, że Rosya opowie się po stronie Prus i rozpocznie wojnę z Austryą, wskazywał tu na konieczność podniesienia sprawy Polski przeciw Rosyi, a nawet w danym razie „ofiarowania Galicyi“, byleby tylko raz wyswobodzić Polskę z objęć Rosyi i odeprzeć przemoc rosyjską ku Azyi. „Jeśli się temu będziemy opie-

rać, to wnet nastąpi podział ziemi między północną Ameryką i Rosyą". dodawał minister Kuhn (Wertheimer l. c. 506).

Oczywiście Prusy nie omieszkały odkryć tych planów przed Rosyą. Nie nadarmo tematem rozmowy, jaką miał król Wilhelm z carem w Ems niedługo przed wybuchem wojny z Francyą (czerwiec 1870 r.) — była Galicya (Klaczko, Dwaj Kanclerze 168).

Jak wiadomo Austrya ostatecznie zdecydowała się w wojnę nie wdawać, a po upadku Francyi Beust musiał oddać swą tekę Węgrowi Juliuszowi hr. Andrassemu.

W. Sobieski.

Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich od upadku Rzeczypospolitej.

II.

Ziemie Wielkopolskie.

(Ciąg dalszy).

P o w i a t n a d N o t e c i ą *(Netzdistrict)*. Rząd pruski w krajach zabranych przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej, rozpoczął zaraz akcyę spisową. Napotykała ona jednak na wielkie trudności, głównie wskutek tego, iż sołtysi po wsiach najczęściej nie umieli czytać i pisać. To też spisy ludności, przeprowadzone jeszcze za Fryderyka II., wielce były niedokładne. Dotyczy to przedewszystkiem ludności katolickiej, albowiem ewangelicy byli oświeceńsi. Co do żydów, to liczeni byli tylko mający koncesyę (pozwolenie na pobyt), wielu zaś tajemnie kryło się po miastach [1]).

Holsche [2]) podaje liczbę ludności „powiatu nadnoteckiego" w 1785 r. według wyznań: 85.296 katolików, 70.989 ewangelików, 6785 żydów. Z cyfr tych wynikałoby, iż 43·5% ogólnej ludności kraju nadnoteckiego stanowili ewangelicy; zważywszy wszakże na

[1]) Boeckh *„Die geschichtliche Entwickelung der amtlichen Statistik des preussischen Staates"*, Berlin 1863. — Holsche *„Der Netzdistrict"*.

[2]) Holsche, wyższy urzędnik sądowy i administracyjny, z początku w Bydgoszczy, później w Białymstoku, dał obszerny i szczegółowy opis najpierw „powiatu nad Notecią", w książce kilkakrotnie już przez nas wymienionej *(„Der Netzdistrict)*, a ogłoszonej drukiem w 1793 r. w Królewcu, następnie dalszych zaborów pruskich w *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuostpreussen"*.

niewątpliwą niedokładność spisu [1]) i braki, odnośnie do katolickiej i żydowskiej ludności, przyjąć należy, iż istotny procent ewangelików był niższy i zapewne nie przekraczał 40%. W każdym razie nawet ta ostatnia cyfra wydawać się musi bardzo wysoką, gdy się ma w pamięci rozwój stosunków wyznaniowych w danej części Wielkopolski za rządów polskich. To też zbadać należy, w jakiej mierze na liczbę ewangelików w 1785 roku wpłynął stan rzeczy z przed 1772 roku, a w jakiej wynikła ona ze zmienionych stosunków już po tym czasie.

Część ludności polskiej, katolickiej, wyemigrowała z kraju nadnoteckiego po przyłączeniu go do państwa pruskiego. Stwierdza to Holsche, nadmieniając o emigracyi kilku tysięcy kantonistów. Wskutek zabrania przez rząd starostw i dóbr duchownych oraz nabycia wielu dóbr prywatnych przez rząd, króla i właścicieli niemieckich, znaczna liczba dzierżawców, oficyalistów i służby

---

Opierał się Holsche na statystyce i wykazach urzędowych, które mu były chętnie — jak sam pisze — przez władze dostarczane. W pierwszem swem dziele staje autor na stanowisku rządowem pruskiem i usiłując usprawiedliwić zabór kraju nadnoteckiego, podkreśla niemieckie pochodzenie *(Ursprung)* części mieszkańców, przyczem jednak wpada w sprzeczności, skoro przechodzi do szczegółowych danych. Mimo wszakże pewnej autorskiej uczciwości i niewątpliwej znajomości rzeczy, widocznych już w tej książce, odbija ona znacznie od następnych, zwłaszcza od opisu „Prus południowych" (*Geographie und Statistik*. Tom II, Berlin 1804), gdzie znajdujemy znacznie sprawiedliwszą ocenę stosunków, nawet pewną dla Polaków przychylność, nabytą widocznie po dłuższym pobycie w Polsce. Charakterystyczną jest więc np. zmiana w ocenie stosunków włościańskich, wcale trafnie przez autora ujętych, jego sąd o poddaństwie, które w Polsce uważa za lżejsze, niż w krajach niemieckich (zwłaszcza w Westfalii — str. 408), a główną winę złego położenia włościan składa nie na ucisk panów, ale na szczupłość gruntów i niski stan rolnictwa; dochodzi także Holsche do wyraźnego krytykowania rządu za jego postępowanie z Polakami przy zaborze starostw i dóbr duchownych (podczas gdy w pierwszej książce tłómaczy te kroki koniecznością), do osądzenia systemu kolonizacyjnego, mianowicie sprowadzania cudzoziemców z krzywdą dla krajowców i t. p.

[1]) Z porównania liczby ludności w 1785 roku: 163.070 dusz i w 1788 roku: 180.236 dusz, wnioskować trzeba, iż pierwsza z nich jest z pewnością zbyt niska, wynikałoby z niej bowiem, iż od 1785 do 1788 roku przybywało ludności nietylko nierównie więcej, aniżeli w następnych trzech latach (w 1789 r. 183.752 dusz, 1790 — 186.608, 1791 — 189.550), lecz także w uprzednich latach dziewięciu (od 1776 do 1785 r.), a więc w okresie głównego napływu, rozpoczętego zaraz po zajęciu kraju przez Prusy (w 1776 r. miało być ludności według Holsche'go 139.060 dusz; Meyer podaje 140.080, — *„Geschichte des Landes Posen"*, — nie wiemy wszakże według jakich źródeł).

polskiej straciła sposób do życia i szła go szukać w granicach państwa polskiego. Jednocześnie z ubytkiem polskiej ludności katolickiej miał miejsce bardzo silny napływ niemieckiej i ewangelickiej ludności. Pisze o tem Holsche: *„Die Volksmenge hat sich sowohl durch Einwandern und Ansiedeln, als durch Zeugung sehr vergrössert“* [1]... ...*„Unter die Bürger und Bauern haben sich viel Ausländer aus allen Provinzen Deutschlands gemischt“* [2]... ...*„Seit der preussischen Besitznehmung haben sich die Evangelischen so sehr vermehrt und die Katholiken so sehr vermindert, dass hin und wieder ganze katholische Gemeinden ausgegangen und ihre Kirchen wenig oder gar nicht besucht werden“* [3]. Parafii katolickich było 133, ewangelicko-luterańskich — mimo znacznego powiększenia się ich liczby od 1772 r. [4]) — tylko 36, na przeszło 70.000 ewangelików, co Holsche uważa za dowód szybkiego pomnożenia się tych ostatnich [5]. Pisze on w innem miejscu: *„Die polnische Nation vermindert sich von Jahr zu Jahr, so dass sie sich in einigen Generationen fast ganz verlieren wird“* [6]. Przepowiednia ta, odnośnie do części kraju nadnoteckiego, spełniła się niestety!

Jakie czynniki składały się na powyżej skreślony rozwój stosunków?

Istota państwa pruskiego z góry przesądzała, jakim mógł być jedynie stosunek tego państwa do ziem nowonabytych, tem ważniejszych, że stanowiących łącznik między rozdzielonemi dotychczas jego częściami (Noteć, jako droga między Odrą a Wisłą, Brandenburgią a Prusami Wschodniemi, szczególne przytem miała znaczenie). Panuje dotychczas u wielu przekonanie, iż polityka

---

[1]) *„Der Netzdistrict“*, str. 61, „Ludność zarówno przez napływ i osadnictwo, jako też przez przyrost naturalny znacznie wzrosła w liczbę“.

[2]) Tamże str. 258 „Pomiędzy mieszczan i chłopów wmięszało się wielu obcokrajowców z wszystkich prowincyi Niemiec“.

[3]) Tamże „Od czasu zaboru pruskiego liczba ewangelików tak bardzo wzrosła, a katolików zmniejszyła się, że tu i ówdzie całe katolickie gminy wyemigrowały i ich kościoły mało lub wcale nie są odwiedzane“.

[4]) Według Holsche'go zbory ewangelickie ufundowane zostały przeważnie (*„grösstenteils„*) po zaborze.

[5]) *„Der Netzdistrict“*, str. 262, *„woraus man schliessen kann, dass sie* (ewangelicy) *sich sehr vermehrt haben müssen“*.

[6]) Tamże, str. 64, „Polska ludność zmniejsza się z roku na rok, tak iż po kilku pokoleniach zniknie prawie zupełnie“.

państwa pruskiego odnośnie do Polaków, rozpoczęta przez Bismarcka, jest czemś jakby nienaturalnem i przypadkowem, czemś, co zawdzięczamy nieprzychylnym dla nas uczuciom tej wybitnej jednostki, która je przelać potrafiła na masy. Zapoznaje się zaś, że dążenie do zasymilowania ludności ziem nabytych, do kolonizowania ich żywiołem niemieckim, było podstawową polityką i koniecznym warunkiem egzystencyi i dalszego rozwoju organizmu państwowego niemieckiego, który zrodził się i rozrósł na ziemiach nieniemieckich. Asymilacyjna i kolonizacyjna polityka brandenbursko-pruska występowała zawsze wyraźnie, nawet jaskrawo, w czasach żywotności i siły państwa, a omdlewała tylko przejściowo w chwilach słabości i wewnętrznych przemian. Do mistrzowstwa doprowadzili ją wielki elektor i jego następcy, pierwsi królowie pruscy, zwłaszcza Fryderyk II., a terenem ich polityki były najpierw ziemie, dawniej polskie, wzdłuż zachodniej granicy Polski (zwłaszcza przy ujściu Noteci do Warty), potem Prusy Wschodnie, naówczas w połowie polskie, następnie Śląsk, dalej kolejno ziemie, zabierane przy podziałach Rzeczypospolitej.

Krajem nadnoteckim, nabytym przy pierwszym podziale Polski, Fryderyk II. zainteresował się bardzo; ułożywszy z von Domhardtem i Brenckenhoffem plan wprowadzenia doń kultury niemieckiej przez osadzanie niemieckich kolonistów, rzemieślników, nauczycieli, oraz inne środki [1]), zajmował się osobiście dotyczącemi sprawami,

---

[1]) Zaraz po zajęciu krajów polskich (w 1772 r.) polecał Fryderyk II. von Domhardt'owi: „żeby prostego człowieka czemprędzej wydobyć z polskiej niewoli i doprowadzić go do pruskiego obyczaju, winien on (Domhardt) niezwłocznie zarządzić i baczyć, by tak jak to na Górnym Śląsku już miało miejsce, niemieccy nauczyciele w małych miastach i wsiach byli osadzani, a mieszkańcy coraz bardziej z Niemcami mięszani byli“ *(„die Einwohner mehr und mehr mit Teutschen melirt werden“).* — „Najpewniejszym środkiem“ — pisał znów Fryderyk do Domhardt'a — „by wszczepić w tych niewolniczych ludzi lepsze pojęcia i obyczaje, powinno być ciągłe usiłowanie zmięszania ich z Niemcami, choćby na początku z dwoma lub trzema tylko w każdej wiosce“ (Meyer *„Geschichte des Landes Posen“*, str. 285, 303). Domhardt proponował Fryderykowi niektóre środki, próbowane już na Śląsku, a więc: zakaz dawania ślubów Polakom, dopóki nie nauczą się doskonale *(„vollkommen“)* mówić po niemiecku, a od 1782 roku czytać i pisać; zakaz wydawania przez szefów regimentów pozwoleń na śluby *(Trauschein)* i urlopów żołnierzom polskim, o ile ci nie władają językiem niemieckim; usunięcie nauczycieli, którzy w ciągu pół roku nie nauczą się po niemiecku, drukowanie książek do nabożeństwa z tekstem niemieckim i polskim i t. p. Środki

wchodząc w różne szczegóły i dokładnie przeglądając kosztorysy i plany. Nie żałował też Fryderyk pieniędzy: na kanał bydgoski, melioracye, budowle, urządzenie „amtów“, kolonizacyę, szkoły, wydał 1,805.000 talarów, a jak twierdzi Holsche, nawet więcej, około dwóch milionów, i to prócz zakupna dóbr, oraz niektórych innych wydatków. Na owe czasy była to suma bardzo znaczna. Przy budowie kanału, którego projekt powziął już był Fryderyk przed zaborem [1]), pracowało początkowo około 6000 robotników, przeważnie Niemców, ściągniętych z Saksonii, Turyngii, księstwa Anhalt (gdzie wówczas panował głód) i innych krajów niemieckich. Przybysze sprowadzali swoje rodziny i pozostawali w kraju nadnoteckim na stałe. Prócz budowy kazału przeprowadził rząd pruski roboty inne, a więc uczynił Noteć spławną od Drezdenka do Nakła, zaś Głdę (Kudów) od Piły do Ujścia, spuścił poziom Gopła (co dało kilka tysięcy morgów gruntu zdatnego pod łąki i pola) i t. p. Robotników Niemców, użytych przy tych przedsięwzięciach i innych pomniejszych melioracyach, osadzał następnie rząd na wsi nadnoteckiej. W ten sposób powstało, między innemi, kilka kolonii nad kanałem bydgoskim [2]). Pozostała także w kraju pewna liczba niemieckich majstrów, dozorców, urzędników, potrzebnych dla konserwacyi kanału i śluz, oraz późniejszych robót i ulepszeń.

Baczną uwagę zwrócił Fryderyk II. na miasta, będące w chwili zajmowania kraju nadnoteckiego przeważnie w smutnym stanie, na skutek uprzednich wojen, zaraz, pożarów [3]). Oficyalne sprawozdanie z 1773 r. przedstawia zajęty kraj jako pustkę; zamki i większość miasteczek, oraz wsi, leżały jakoby w ruinach, stanu mieszczańskiego nie było prawie zupełnie [4]), samorząd miast był w upadku, starszyzna miejska nie umiała pisać (w Margoninie, Gę-

---

te jednak nie weszły w życie (Beheim-Schwarzbach *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens“).*

[1]) Kanał bydgoski, przeprowadzony od Nakła do Bydgoszczy, a łączący Odrę z Wisłą (Noteć z Brdą) zaczął Fryderyk budować zaraz po zajęciu kraju nadnoteckiego. Koszta pierwszych urządzeń, w latach 1773—74, wyniosły 700.000 talarów (Holsche *„Der Netzdistrict“).*

[2]) Meyer *„Geschichte des Landes Posen“.*

[3]) Wuttke *„Städtebuch“*, Roepell *„Geschichte Polens“*, Beheim-Schwarzbach *„Der Netzedistrikt“*... Protokóły spisywane przy zajmowaniu kraju przez Brenckenhoffa w 1772 r., Meyer *„Geschichte des Landes Posen“*, str. 260 i nast.

[4]) *„Das Land ist wüste und leer... Die alten festen Städte, Schlösser genannt, liegen in Schutt und Trümmern, ebenso die meisten kleinen Städte und*

bicach, Kwieciszewie cały magistrat był niepiśmienny, w Wyrzysku i Wysokiej zaledwie paru radnych z trudem zdołało się podpisać). Mieszkańcy wielu miast [1]) żyli prawie wyłącznie z rolnictwa, w Gniewkowie, Wysokiej, Kruszwicy, rzemieślników nie było zupełnie. Najliczniejszem miastem była Trzcianka, według protokołu, spisywanego przy zajmowaniu kraju przez Brenckenhoffa, miała 1939 mieszkańców chrześcijan i 270 żydów. Wieleń, Czarnków, Chodzież, Piła, liczyły ponad tysiąc mieszkańców chrześcijan [2]), inne miasta tysiąca nie dosięgały, znaczna ich część miała ludności zaledwie 200 do 500 dusz, w Kruszwicy żyło 57 ludzi.

Rząd pruski rozpoczął zaraz sprowadzać do miast rzemieślników i robotników w znacznej liczbie z Saksonii, Frankonii, Turyngii etc.; majstrów i robotników budowlanych dostarczał głównie Berlin. Wznoszono kościoły (ewangelickie), ratusze, gmachy dla licznych władz rządowych, szkoły, domy mieszkalne, koszary. Wszystkie gałęzie przemysłu otrzymywały rządowe subwencye; rzemieślnicy dostawali urządzone mieszkania i warsztaty. Opieką rządową cieszyły się przedewszystkiem miasta królewskie. Było ich 24: Bydgoszcz, Inowrocław, Fordoń, Strzelno, Kruszwica, Gniewkowo, Solec, Mogilno, Żnin, Koronowo, Nakło, Piła, Jastrowie, Wałcz etc.; z miast dziedzicznych (prywatnych), których było 22 (Złotów, Wieleń, Czarnków, Chodzież, Frydland, Margonin, Łabiszyn, Szubin, Szamocin, Pakość i inne), dwa, mianowicie Trzcianka i Człopa stanowiły prywatną własność króla pruskiego (w 1772 r. Trzcianka należała do Lasockich, Człopa do Sułkowskich).

W Bydgoszczy, która od czasu zniszczenia przez Szwedów znacznie podupadła, miało być, według Holsche'go, w chwili za-

---

Dörfer... Ein Bürgerstand existirt gar nicht". Offizieller Berichi über den Zustand des Netzdistrictes vom Jahre 1773. Meyer *„Geschichte des Landes Posen"*, str. 271.

[1]) Strzelno, Szubin, Rynarzew, Budzin, Wilatkowo, Nakło, Tuczno i inne.

[2]) W Wieleniu chrześcijan było według protokołów Brenckenhoffa z 1772 roku 1400, żydów 601, według Beheim-Schwarzbacha chrześcijan 893, żydów 828; w Pile według pierwszego źródła było chrześcijan 1047, żydów 318, w Czarnkowie 1047 chrześcijan,; według Beheim-Schwarzbacha w Czarnkowie chrześcijan 1286, żydów 362, w Chodzieży chrześcijan 1140, żydów 448. Znaczne różnice w cyfrach, jakie znajdujemy w obu źródłach, pochodzą z niedokładności ówczesnych spisów, jakoteż stąd, iż Beheim-Schwarzbach opierał się na wykazach późniejszych, duże zaś zmiany mogły zajść bezpośrednio po zajęciu kraju.

boru tylko 400 do 500 mieszkańców [1]) (półtora wieku wstecz miała Bydgoszcz z przedmieściami około 1500 domów). Z królewskich funduszów wybudowano tu 99 nowych dwupiętrowych domów „masywnych", kilka gmachów rządowych, więzienia; na budowle te poszło 200.000 talarów. Na przedmieściach wystawiono także około stu nowych domów. Ustanowił rząd w Bydgoszczy skład żelaza, stali i miedzi na cały „powiat nadnotecki". Powstały młyny, olejarnie, fabryki wełnianych i innych materyi, garbarnie. Zamek bydgoski sprzedany został berlińskiemu przedsiębiorstwu, które założyło cukrownię i miejscowość zabudowało gęsto. Do podniesienia Bydgoszczy szczególnie przyczynił się kanał bydgoski.

W 1788 r. ma Bydgoszcz 3077 mieszkańców, nie licząc żydów. ale gdy przed zaborem nie było tu, według Holsche'go, ani jednego ewangelika *(„kein ewangelischer Christ")*, po wzmiankowanym rozroście miasta liczba protestantów przewyższała już liczbę katolików [2]).

Dla innych miast nie szczędził także król pieniędzy i starań. Wałcz po pożarze otrzymał na odbudowę kilkanaście tysięcy talarów. W Nakle powstają kosztem rządowym nowe domy. Na budowanie domów po miastach przeznaczył król stałą roczną subwencyę. Na założenie garbarni w Mogilnie rząd dał tysiąc talarów, sprowadzał tu usilnie rzemieślników niemieckich, podobnie jak do innych miast. W Mogilnie przed zaborem nie było zupełnie ani ewangelików, ani żydów, tak jak we wszystkich miastach duchownych (Mogilno należało do klasztoru Benedyktynów, inne miasta duchowne były: Gąsawa, Kwieciszewo, Wilatkowo, Żnin, Strzelno, Koronowo). Po 1774 r. napływają do Mogilna Niemcy ewangelicy bardzo szybko (żydów osiedla się niewiele). W 1796 r. poświęcony został kościół ewangelicki, a w 1800 r. powstaje ewangelicka szkoła [3]). Podobne zmiany zaszły i w innych miastach.

Duże wysiłki czynił rząd, aby rozwinąć w kraju nadnoteckim przemysł: garbarstwo, sukiennictwo, jedwabnictwo. Ostatnie, wobec braku odpowiednich warunków, zawiodło zupełnie nadzieje

---

[1]) Cyfrę tę przyjmuje także Beheim-Schwarzbach, Wuttke podaje 1380 dusz, ale dla 1774 roku.

[2]) Holsche *„Der Netzdistrict"*.

[3]) Adolf Warschauer *„Geschichte der Stadt Mogilno" (Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen* VIII). Kompletna lista mieszkańców z 1774 r. wykazuje same polskie nazwiska.

rządu, mimo rozdawania przezeń subwencyi, nagród, pouczeń [1]). Sukiennictwo istniało już nad Notecią w chwili zaboru. Przemysł ten sięgał w Wielkopolsce odległych czasów, w XV. i XVI. wieku znaczniejsze miasta roiły się od tkaczów cechu sukienniczego; polskie sukna szły na Śląsk, do Czech, do Moskwy. Wywóz przetrwał czasy najgorszego upadku miast [2]). W XVIII. wieku Śląsk, zwłaszcza od czasu przejścia pod rządy Fryderyka II., w produkcyi sukienniczej prześciga Wielkopolskę, ale i ta doskonali i pomnaża swoje wyroby w drugim okresie panowania Stanisława Augusta. Było to już po pierwszym rozbiorze i utracie części Wielkopolski; jednak w kraju nadnoteckim znajdowało się w chwili zajmowania go przez Prusy kilka miast o znaczniejszej liczbie sukienników. Według wykazu, sporządzonego przez Beheim-Schwarzbacha na podstawie spisów z lat 1773—76, w Trzciance miało być wówczas 220 sukienników, w Jastrowiu 118, Chodzieży 85, Czarnkowie i Margoninie po 40, w innych miastach mniejsze liczby; razem we wszystkich miastach kraju nadnoteckiego było około 800 sukienników [3]). Trzciankę nabył Fryderyk Wilhelm II. i starał się udoskonalić w niej i rozszerzyć produkcyę sukienniczą przez sprowadzanie niemieckich tkaczy zawodowych; podobne usiłowania czynił był Fryderyk II. w innych miastach, ale sukiennictwo nie miało nad Notecią, po odłączeniu kraju od Rzeczypospolitej, warunków rozwoju i mimo wszelakiego poparcia chyliło się do upadku.

Akcyę rządu w miastach naśladowali właściciele prywatni. Z miast dziedzicznych sześć należało około 1790 r. do nowonabywców niemieckich: Wieleń, Tuczno, Miasteczko, Krajenka, Złotów i Pakość (Frydland już przed zaborem należał do pułkownika v. Blankenburga). Tak więc, doliczywszy Trzciankę i Człopę, jako prywatną własność króla pruskiego, część trzecia wszystkich miast dziedzicznych znajdowała się już w tym czasie w rękach niemieckich.

Braki w wykazach z pierwszych lat po zaborze nie pozwalają na określenie ogólnego wzrostu ludności miejskiej w latach

---

[1]) Hans Kiewning *„Seidenbau und Seidenindustrie" im Netzedistrikt 1773 bis 1805. Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen XI.*

[2]) Korzon „Wewnętrzne dzieje Polski", Tom II.

[3]) Po sukiennikach najliczniejsi byli szewcy (około 170 rodzin razem we wszystkich miastach), dalej krawcy; inne rzemiosła bardzo nielicznych tylko miały przedstawicieli. Odnośne wykazy są zresztą niekompletne i

1772—88 (w 1788 r. ludność miejska w „powiecie nad Notecią“ wynosiła według Holsche'go 39.412 dusz, oprócz żydów). Dla niektórych jednak miast znajdujemy liczby ludności w protokołach, spisywanych przy zajęciu kraju w 1772 roku, dla szeregu innych w opisie „powiatu nad Notecią“ przez Beheim-Schwarzbacha [1]), który się oparł na wykazach, sporządzanych przez rząd pruski w latach 1773 i 1774 (częściowo i w następnych dwóch: 1775, 1776) [2]), a przechowywanych w archiwum państwowem w Poznaniu. Z porównania tych danych z cyframi u Holsche'go okazuje się bardzo znaczny wzrost ludności chrześcijańskiej wielu miast.

	1773(4) r.	1788 r.
Bydgoszcz (1772 r.)	500	3077
Inowrocław	592	1371
Margonin	451	1257
Rynarzew	190	439
Mrocza (1772 r.)	385	655
Budzin	349	827
Gębica	260	388
Wilatkowo	247	389
Szamocin	312	738
Łobżenica	632	957
(w r. 1772	540)	
Strzelno	571	835
Szubin	611	852
Barcin	240	496
Wysoka	229	346
Kwieciszewo	233	350
Mogilno	477	597

Wzrost ten ludności szedł niewątpliwie w parze, tak jak widzieliśmy to w Bydgoszczy i Mogilnie, z szybkim napływem Niemców ewangelików, spowodowanym przez nowe stosunki i omówione powyżej zabiegi [3]). Samych sprowadzonych na koszt rzą-

[1]) *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens“. Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen VII, VIII.*

[2]) *Klassifikationsanschläge, Grundsteuerkataster, Vasallen-Tabellen.*

[3]) O Wieleniu np. pisze Beheim-Schwarzbach: *„Unter Friedrich II. blühte das Deutschthum in Filehne mächtig auf; deutsche Beamten, deutsche Offiziere,*

dowy rodzin mieszczańskich liczy Holsche 506. Napływ niemieckiej ludności miejskiej: tkaczy, majstrów i robotników budowlanych, rzemieślników i „profesyonistów“ wszelkiego rodzaju, kupców, przemysłowców — liczyć można za rządów Fryderyka II. (od zaboru do 1786 r.) na conajmniej cztery do pięciu tysięcy dusz. Rzemieślnicy i kupcy niemieccy miewali oparcie w licznych rodzinach niemieckich urzędniczych i wojskowych, które znalazły się w kraju.

Jak wiadomo, w zaborze pruskim rząd zawładnął niezwłocznie całem życiem publicznem, wszystkie urzędy spoczęły niemal wyłącznie w rękach niemieckich. Administracya pruska, drobiazgowy dozór nad wszelkimi stosunkami w kraju, wymagały licznego personalu; duża była zwłaszcza w powiecie nad Notecią liczba urzędników cła i akcyzy [1]). Wł. Smoleński podaje, iż po trzecim rozbiorze rząd pruski wprowadził do „Prus Południowych“ i „Nowowschodnich“ około 9 tysięcy swych urzędników [2]). Przyjmując dla powiatu nad Notecią, w stosunku do rozległości, dziesiątą część tej liczby, otrzymamy około 900 urzędników, a razem z rodzinami i służbą, przywożoną z Niemiec, około trzech tysięcy ludności niemieckiej i prawie wyłącznie ewangelickiej, która napłynęła zaraz po zaborze.

Liczbę urzędników niemieckich zwiększali niemieccy nauczyciele. Fryderyk II. do sprawy szkolnictwa, zwłaszcza początkowego, w krajach zabranych przywiązywał szczególne znaczenie. Przeznaczył na utrzymanie nauczycieli w „amtach“ uposażenie w ziemi i pieniądzach, stworzył specyalny fundusz (200.000 talarów) na popieranie szkolnictwa wiejskiego. Do 1780 r. sprowadzono z tego funduszu 163 nauczycieli, przeważnie z Saksonii. W „powiecie nad Notecią“ w 1778 r. było już zresztą, niezależnie od tej fundacyi (która początkowo służyła tylko dla okręgu „Kamery“ kwidzyńskiej), 58 katolickich i 177 protestanckich nauczy-

---

deutsche Industrielle, drängten das polnische Element weit zurück“. „*Geschichte der Stadt Filehne und ihres Gebietes*“ *1896. Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen XI.*

[1]) Holsche podkreśla dużą liczbę urzędników w kraju nadnoteckim („*Der Netzdistrict*“). — „*Es wurde viel zu viel regiert und eine allzugrosse Anzahl von Behörden erschwerte den Gang der Verwaltung*“. Meyer „*Geschichte des Lsndes Posen*“.

[2]) „Rządy pruskie na ziemiach polskich“.

cieli elementarnych, sprowadzonych po zajęciu kraju. Jednak do wypełnienia planu edukacyjnego Kamery bydgoskiej brakowało jeszcze wielu nauczycieli. Król, który już poprzednio przekazywał Brenckenhoffowi specyalne sumy na szkolnictwo, przeznaczył znowuż dodatek 1200 talarów rocznie, kazał na własny koszt wybudować 19 szkół i dzieciom darmo rozdawać książki szkolne.

Prócz armii urzędniczej wprowadził król pruski do kraju nadnoteckiego swoje wojsko. Holsche podaje liczbę tegoż w miastach na 2921 ludzi, nie wiemy jednak, ile było w całym kraju ogólnej ludności wojskowej (z żonami i dziećmi; w departamencie poznańskim wykazana jest dla 1800 r. znaczna ich liczba). Wojsko, stojące w „powiecie nad Notecią" było obcokrajowem i podniosło o kilka tysięcy liczbę ewangelickiej ludności tamże [1]).

Wielkie zmiany zaszły po 1772 r. na wsi nadnoteckiej. Ze starostw usunięci zostali ich posiadacze, przyczem dużo rodzin, które niemal cały swój majątek włożyły były w te dobra, poniosło wielkie i dotkliwe straty [2]). Zabrał też rząd dobra duchowne [3]), klasztorne wszystkie, prymasa i kapituły gnieźnieńskiej, biskupa poznańskiego i kujawskiego. Ze skonfiskowanych majątków ministra Görne, który je był nabył za królewskie pieniądze, a następnie popadł w niełaskę, utworzono dwa „amty" (Mrocza i Wysoka) [4]), jeden — z dóbr nabytych od Rydzyńskich (Wyrzysk). Wszystkich „amtów" (*Domäneämter*) było 20, przestrzeni miały 6995 włók magdeburskich, dymów 6030, ludności w 1788 roku 41.678 (nie licząc miast królewskich). Dochód roczny z domen wynosił 80.000 talarów, z czego wszakże były płacone t. zw. kom-

---

[1]) Wojsko, konsystujące nad Notecią, nie miało tam kantonu, ale we Wschodnich Prusiech, i stamtąd brało ludzi. Natomiast w kraju nadnoteckim miały kanton regimenty, stojące w Nowej Marchii. Liczba dymów kantonowych w „powiecie nad Notecią" wynosiła 25,520, liczba ludzi zdatnych do broni (*waffenfähig*) 15.000, a wszystkich wraz z niezdatnymi, obowiązanych do służby wojskowej mężczyzn do 45. roku życia (*sämmtliche Enrollirten*) — ponad 32.000; w szeregach stało 3094 ludzi. (Holsche „*Der Netzdistrict*", str. 263).

[2]) Holsche „*Der Netzdistrict*", str. 76. „*Viele Familien, welche beinahe ihr ganzes Vermögen hineingesteckt hatten, litten hiebei gewaltig*". — Tylko nieliczne dobra (*Gratialgüter*) zostawione zostały do czasu posiadaczom, a niektóre z nich, za spłatą kwarty, otrzymały prawa dóbr szlacheckich.

[3]) Z wyjątkiem drobnych posiadłości plebanów.

[4]) Mrocza w czasie zaboru należała do Małachowskich, Wysoka do Raczyńskich.

petencye klasztorom (17.000 talarów), dochód czysty wynosił 50.000 talarów. Największe były dobra, należące poprzednio do klasztoru Cystersów w Koronowie *(Amt Coronowo)*, dawały dochodu 10.000 talarów (klasztor otrzymywał od rządu 2224 talarów, opat 1911 talarów). Inne „amty“ były: Bydgoszcz, Mrocza, Nakło, dalej ku zachodowi Wysoka, Wyrzysk, Zelgniewo, Łubianka, Nowydwór, Wałcz, ku północy wysunięty Kamień. Rozrzucone były „amty“ po całym „powiecie nadnoteckim“, najgęściej zaś skupione w południowo-wschodniej części, gdzie znajdowały się następujące: Gniewków, Murzynno, Inowrocław, Kruszwica, Strzelno, Mogilno, Żnin. Żywiołu niemieckiego w tej części kraju i wogóle we wszystkich dobrach poduchownych w chwili zaboru nie było zupełnie; zadaniem „amtów“ było go stworzyć lub wzmocnić i cel ten stawiany był narówni z przysporzeniem dochodu z domen, lub nawet powyżej. Urzędnikami i dzierżawcami w domenach [1]) byli prawie wyłącznie Niemcy ewangelicy; niektóre dobra (np. Solec) wypuszczone zostały w dzierżawy wieczyste. Przeprowadzał rząd w swych dobrach znaczne i kosztowne melioracye, wznosił budowle, zakładał nowe folwarki, szkoły, co wszystko połączone było z napływem żywiołu niemieckiego: robotników, majstrów, służby, oficyalistów, zarządców, nauczycieli. W myśl wskazań Fryderyka II. starano się obsadzać Niemcami „pustki“, czyli osady przez włościan opuszczone, bardzo liczne w czasie zaboru na skutek ogólnego wyniszczenia kraju, również osady, z których gospodarze bywali usunięci z powodu złego rządzenia się, albo zmarli, nie zostawiając spadkobierców. Rozpoczęta też zaraz została akcya kolonizacyjna [2]), osądzona przez Holsche'go, jako krzywdząca dla krajowców, a pod względem ekonomicznym wysoce wadliwa, gdyż połączona ze zbyt wielkiemi kosztami, a małym względem na zalety gospodarcze osadników. Niedopuszczano bowiem prawie zupełnie ludności miejscowej, a sprowadzano obcych, nieobeznanych ze stosunkami i z klimatem. Takich przybyszów, osadzonych znacznym kosztem przez rząd w nowoutworzonych koloniach, liczy Holsche 3151 dusz (712 rodzin). Byli to przeważnie wychodźcy ze Szwabii (Wirtembergii), skąd złe stosunki agrarne

[1]) Rząd w ten sposób administrował dobrami, iż wypuszczał je co lat parę swym urzędnikom *(Beamten)*, właściwie dzierżawcom.

[2]) Według Holsche'go rząd wydał na kolonizacyę 180,000 talarów.

wypędzały ludność [1]): Beheim-Schwarzbach i R. Prümers twierdzą, iż w 1783 r. było w kraju nadnoteckim 587 rodzin samych wirtemberskich przybyszów, którzy napłynęli głównie między 1780 a 1783 r. Ale już wcześniej i z innych także części Niemiec, nadciągali osadnicy. Od 1775 do 1780 r. miało ich przybyć (według Meyera i innych pisarzy) przeszło 530 rodzin.

Osadzał też rząd na wsi robotników po ukończeniu przedsięwzięć, przy których byli zatrudnieni (jako to: kanał bydgoski, melioracye, budowle etc.); Holsche mówi, prócz o kolonistach, także o „emfiteutach“ (wieczysto-czynszowych posiadaczach), osiedlonych przez rząd pruski w lasach i bagnach Noteci. Fryderyk II. troszczył się, by osadzano inwalidów z jego armii i wogóle interesował się nadzwyczajnie akcyą kolonizacyjną, dwa razy do roku żądając raportów z poczynionych postępów. Oczywista, iż w całem tem osadnictwie, przy znanych zapatrywaniach Fryderyka, brana była w rachubę jedynie ludność niemiecka i ewangelieka. Z sąsiednich okolic Polski ściągano także ludność do kraju nadnoteckiego, ale tylko Niemców dysydentów. Ogół wiejskiej ludności niemieckiej ewangelickiej w domenach, która napłynęła od zaboru do 1786 r., można ocenić, zdaniem naszem, na conajmniej sześć do ośmiu tysięcy dusz.

Lasy królewskie zajmowały 16.000 włók magdeburskich; urządzane były i utrzymywane przez licznych leśniczych i służbę leśną. Razem dobra i lasy królewskie (rządowe) zajmowały 22.995 włók magdeburskich, a więc 15% całej przestrzeni „powiatu nad Notecią“ (220 milom kwadr. odpowiada 153.300 włók magdeburskich) [2]). Inny był stosunek ludności: w 1788 r. było w „amtach“ 41.678 ludności chrześcijańskiej, w okręgach wiejskich 91.718, w miastach królewskich i prywatnych 39.412; żydów miało być 7428, z czego na wsi tylko 69 (razem całej ludności 180.236). Tak więc ludność w posiadłości rządowej stanowiła blisko $^1/_3$ całej ludności wiejskiej (a 23% ogólnej ludności w kraju). W świetle cyfr powyższych zrozumiałem jest, jak wielki wpływ na rozwój stosunków na wsi nadnoteckiej musiał wywierać system rządowy,

---

[1]) Beheim-Schwarzbach, *„Friedrich der Grosse els Gründer deutscher Kolonien“...* R. Prümers *„Lied der Würtembergischen Auswanderer im Jahre 1781“. Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen.* IX.

[2]) 1 włóka miary nowopolskiej = 2 włókom i 5·47 morgom magdeburskim (1 morg miary nowopolskiej = 57·83 ar.).

któremu tak znaczna część kraju i ludności była bezpośrednio podległą.

Nietylko do dóbr rządowych ściągali z Niemiec osadnicy. Holsche, mówiąc o t. zw. Holendrach, twierdzi, iż przeważna ich liczba osiedliła się za pruskich czasów [1]). Kraj nadnotecki w 1772 r. miał jeszcze bardzo wiele lesistych i bagnistych obszarów, nadto pustek, będących wynikiem wojen i zaraz, które kraj kilkakrotnie wyludniały. Według świadectw współczesnych [2]), wsie częściowo leżały w ruinach, miejsce łąk i pól zajmowały moczary i zarośla. Beheim-Schwarzbach na podstawie wykazów rządowych z 1773—74 r. podaje, iż były wsie, złożone z dwóch jam *(Löcher)* w ziemi, gdzie mieszkało dwoje ludzi, albo mające nazwę grunta, domy, ale bez żadnych mieszkańców, ci bowiem powymierali lub uciekli, pola zostawiając odłogiem. Ilość „pustek" *(wüste Stellen)*, podana w wykazach, jest znaczna, a nie wszystkie były spisywane [3]). W 1776 r. miał „powiat nad Notecią" ludności 139.060, a więc tylko 632 mieszkańców na 1 milę kwadr. (w 1791 r. 862 na milę) [4]). W Rzeczypospolitej dobra duchowne, zwłaszcza dobra klasztorne, naogół lepiej były zagospodarowane, aniżeli szlacheckie. Stosunek gruntów włościańskich do folwarcznych tak w dobrach duchownych, jakoteż w królewszczyznach, wypadał bardziej na korzyść włościan, których byt był pomyślniejszy, niż w dobrach szlacheckich, a prawa użytkowe do posiadanych osad lepiej zabezpieczone, co wszystko składało się na gęstsze zaludnienie późniejszych domen króla pruskiego, aniżeli posiadłości prywatnej. W rządowej posiadłości (dobra i lasy) wypadało w 1788 r. 2 ludzi na troszkę więcej niż jedną włókę magdeburską, a gęstość zaludnienia była tu już także skutkiem wydatnej akcyi osadniczej rządu pruskiego. Dla posiadłości prywatnej w 1788 r. wypada na

---

[1]) *„Der Netzdistrict"*, str. 223: *„zogen (Holländer) schon in polnischen Zeiten, noch mehr aber in preussischen Zeilen"*.

[2]) Holsche, *„Der Netzdistrict"*. — *„Bericht über den Zustand des Netzdistrictes" 1773.*

[3]) Beheim-Schwarzbach, *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens"*.

[4]) W sąsiednich częściach Polski, według tabeli Moszyńskiego z 1790 r., gęstość zaludnienia była następująca: w województwie Poznańskiem 1300 osób na milę kwadr., w Gnieźnieńskiem 1050, w Brzesko-Kujawskiem i Inowrocławskiem 533, W departamencie Poznańskim w 1800 r. było 1466 osób na milę (według danych Holsche'go),

10 włók magdeburskich tylko 7 lub 8 ludzi, mimo iż ludność ogólna „powiatu nad Notecią“ wzrosła już była od 1776 roku o 41.176 osób, czyli o 30%. Jeżeli jako miarę wzrostu ludności w okręgach wiejskich, t. j. w posiadłości prywatnej, po r. 1772, weźmiemy wzrost w latach 1788—1791 [1]), w takim razie dla 1772 roku otrzymamy liczbę ludności wiejskiej dóbr prywatnych około 73.000, a na 10 włók magdeburskich zaledwie 6 ludzi. Ale cyfrę tę należałoby jeszcze zniżyć, gdyż wzrost ludności większy był za czasów Fryderyka II., wskutek szybszego napływu, niż po jego śmierci.

Wyludniona posiadłość prywatna stała się po zaborze doskonałym terenem dla osadnictwa obcego. Nowe stosunki, wyższe ciężary, ale i większe dochody z gospodarki, parły właścicieli ziemskich do lepszego wyzyskania należących do nich obszarów. Przedewszystkiem należało opustoszałe wsie zaludnić, pola leżące odłogiem uprawić. Ludności polskiej brakowało, uchodziła ona jeszcze z kraju (kantoniści), tem pożądańszym był obcy osadnik, już w dawniejszych czasach nad Notecią chętnie przyjmowany. Karczowanie lasów i zarośli, osuszanie błot, dawały możność tworzenia nowych wsi, zaludniania pustych dotyczas obszarów, i w tym celu także sprowadzano osadników niemieckich. Szeroka akcya osadnicza, połączona z melioracyami i podniesieniem wartości dóbr, niemniej jak i postęp w gospodarce folwarcznej, związany z napływem niemieckich zarządców, oficyalistów, służby, miały miejsce przedewszystkiem w tych licznych dobrach prywatnych, które po 1772 r. w krótkim czasie przeszły były do rąk niemieckich.

Na podstawie wykazów pruskich, robionych zaraz po zaborze *(Vasallen-Tabellen)*, Beheim-Schwarzbach stwierdza, iż w 1772 roku właścicielami ziemskimi w późniejszym „powiecie nad Notecią“ byli sami niemal Polacy, niemieckich rodów znalazł tylko dwa: Blankenburgów, właścicieli Frydlandu (na samej granicy Nowej Marchii) i Goltzów (Golczów), których kilku przedstawicieli miało majątki w zachodniej i północnej części kraju nadnoteckiego [2]). Szlachecki ród Golczów *(vel* Gulczów, herbu

---

[1]) Dla lat 1788, 1789, 1790, 1791, znajdujemy u Holsche'go, liczby ludności osobno dla miast, osobno dla „amtów“ i dla okręgów wiejskich, oraz dla ludności żydowskiej.

[2]) *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens“.*

Gulcz), osiadły gęsto w Prusiech Królewskich [1]), ale także i w wałeckiem od XIV. w.; w XVII. i XVIII. w. bywali Gulcze burgrabiami ziemskimi, sędziami i starostami wałeckimi [2]), niesłusznie przez Beheim-Schwarzbacha i innych niemieckich pisarzy anektowani zostali zupełnie dla narodowości niemieckiej. Niektórzy członkowie tej rodziny mogli być istotnie wynarodowieni jeszcze za czasów Rzeczypospolitej, czemu sprzyjało luterańskie wyznanie, związki rodzinne z Niemcami i służba w armiach cudzoziemskich (cesarskiej, francuskiej, duńskiej, brandenburskiej, saskiej, rosyjskiej), gdzie dochodzili do najwyższych stanowisk [3]); liczni wszakże Golcze służyli Rzeczypospolitej, dzierżyli starostwa i kasztelanie, koligacili się ze znanymi polskimi rodami. Za Stanisława Augusta dwóch członków tego domu, niezwykle płodnego w talenty militarne, było jenerałami wojsk koronnych, (jeden z nich, Jerzy, jenerał-lejtnant, starosta tucholski, marszałek konfederacyi toruńskiej i późniejszy projektodawca w różnych układach wyznaniowych; drugi, August Stanisław, był właśnie jednym z właścicieli majątków w wałeckiem w 1772 r.).

W opisie „powiatu nad Notecią" *(„Der Netzdistrict")* Holsche'go znajdujemy wykaz dóbr, wsi i folwarków prywatnych, oraz ich właścicieli, około roku 1790. Było już wówczas na mniej więcej 650 wszystkich wyszczególnionych majątków ziemskich, przeszło 160, t. j, 25% w ręku nowonabywców niemieckich (nadto 10 majątków należało do v. Blankenburgów a 19 do v. der Goltzów *vel* Golczów). Liczba Niemców, nabywców dóbr, była stosunkowo mniej znaczna: około 40 na niespełna 250 wszystkich właścicieli [4]). Ale

---

[1]) Rozkrzewiony był silnie w XVIII. w. w okolicach Tucholi i Grudziądza.

[2]) Około 1300 r. Arnold Golcz fundował jakoby zamki w Wałczu, Drahimie i Dramburgu; według pisarzy niemieckich założył tylko miasto Dramburg.

[3]) Bywali generałami i „generalissimusami", otrzymywali tytuły i nagrody. I tak Joachim Golcz, syn sędziego wałeckiego, otrzymał tytuł barona i 3 lilie do herbu od Ludwika XIV. „w nadgrodę heroicznych jego zasług" (Niesiecki), był następnie generalissimusem wojsk duńskich i saskich (dowodził Sasami pod Wiedniem); pozostał katolikiem i dla Jezuitów wałeckich był „dobroczynnie łaskawy" — Po upadku Rzeczypospolitej ród Golczów w zaborze pruskim zniemczył się, jak się zdaje, zupełnie; katolicka jego gałąź, osiadła z czasem w Królestwie Polskiem, pozostała szczerze polską. — W obecnej wojnie nazwisko von der Goltz przypomniało się światu. Z polskich zaś Golczów, z Królestwa Polskiego, walczy jeden, jako ochotnik, w wojsku francuskiem.

[4]) Początkowo dozwolonem było nabywanie majątków ziemskich w kraju nadnoteckim przez nie-szlachtę, ale wkrótce to pozwolenie zostało cofnięte. Ro-

28 polskich rodzin, dziedziców przeważnie wielkich dóbr, mieszkało stale w Rzeczypospolitej, lub zagranicą [1]). Obok magnackich fortun należały do Polaków wioski kilkuwłókowe, czasem tylko części wsi. W ręku niemieckiem znajdowały się majątki znaczniejsze, lub wielkie pańskie dobra *(„Herrschaften")*, przeważnie w okręgu wałeckim, rzadziej już w kamińskim, zaś we wschodniej części kraju (okręgi bydgoski i inowrocławski), obok średnich posiadłości, złożonych z jednego lub paru majątków, tylko jedno „państwo" — Pakość (miasto i dobra, sprzedane, według Holsche'go, przez Działyńskich von Gerhard'owi). W okręgach bydgoskim i inowrocławskim [2]) przeważały wogóle średnie i małe fortuny szlacheckie, wielkich dóbr znajdujemy tu, prócz Pakościa, tylko 4: Szubin (Mycielskich, właścicieli Rawicza, mieszkających w Rzeczypospolitej), Mamlecz (Mierosławskich), Barcin (Łochockich) i Łabiszyn (Skorzewskich). Wśród znacznej liczby polskiej katolickiej szlachty, osiadłej na Kujawach (we wschodniej części „po-

---

dzin szlacheckich właścicielskich około 1788 r. liczy Holsche 235 *(„Der Netzdistrict")*.

[1]) W aktach pruskich (Fryderyk II. interesował się niezwykle stosunkami polskiej szlachty i żądał o niej szczegółowych raportów) zaznaczone jest, iż szlachta polska najchętniej *(„mit Vorliebe")* przebywała za granicami pruskiego państwa. Bnińscy, Komierowscy, Krzyccy, Koźmińscy, Małachowscy, Mielżyńscy, Moszczeńscy, Potuliccy, Raczyńscy, Bojanowscy, Sułkowscy, Turnowie, Weyherowie, Suchorzewscy, Mycielscy i inni, mieszkali stale w Rzeczypospolitej (niektórzy z nich wyzbyli się prędko swych posiadłości w zabranym kraju) Józef Łochocki i Teodor Moszczyński wstąpili do służby wojskowej we Francyi, inni byli w podróżach. Młodzież szlachecka kształciła się w Polsce (wyjątek stanowił mały Fryderyk Skorzewski, właściciel Łabiszyna, Margonina i Rynarzewa z licznemi dobrami, wychowywany w Berlinie). Aby pociągnąć biedniejszą szlachtę do armii pruskiej, założył Fryderyk szkołę rycerską w Chełmnie (przekształconą z akademii), z językiem polskim i niemieckim w niższych klasach, a wyłącznie niemieckim w wyższych. Lecz szlachta zachowała się wobec tej próby z rezerwą *(„blieb reservirt")*. O jej nastroju pisze Holsche, iż była nim gorycz *(Bitterkeit)*, nieufność i niewiara w trwałość pruskich rządów *(„sich nicht überzeugen konnte, dass diese Provinz preussisch bleiben werde")*; Polacy nie wchodzili z Niemcami w związki małżeńskie i unikali z nimi stosunków *(an eine Übereinstimmung des deutschen und polnischen Adels ist lange nicht zu denken"* — *„Der Netzdistrict"*, str. 257). Zarzuciła szlachta, według Holsche'go, strój francuski dla polskiego, język łaciński dla ojczystego. Ale jednocześnie wyprzedawała się z dóbr na korzyść Niemców.

[2]) Do okręgu *(Kreis)* inowrocławskiego należały Kreisamty: Inowrocław, Pakość, Noteć, Kruszwica, Mogilno; do bydgoskiego: Bydgoszcz I, Bydgoszcz II, Łabiszyn.

wiatu nad Notecią„) [1]) kilkunastu nowonabywców niemieckich większego nie miało znaczenia. Gorzej było w okręgach wałeckim i kamińskim, większych i ludniejszych [2]). Tu przeważały znaczne dobra i magnackie fortuny, mimo, iż niektóre z dawniejszych już były w tym czasie rozdrobnione: rozpadły się posiadłości, dzierżone w ciągu kilku stuleci przez Tuczyńskich (de Wedel), panów na Tucznie i całej okolicy, po wygaśnięciu tego domu, dalej dobra Czarnkowskich, dobra wieleńskie, z których część na południe od Noteci (Drawsko albo Drasko i 11 innych majętności) została w ręku Sapiehów, północna zaś, miasto Wieleń i 21 wsi, sprzedana została po zaborze prałatowi (później hrabiemu) v. Blankensee [3]). W okręgach wałeckim i kamińskim na południe od Noteci wszystkie większe dobra [4]), w liczbie 13, należały jeszcze do Polaków (około 1790 r.), z wyjątkiem Strzelc (sprzedanych urzędnikowi pruskiemu v. Zacha), a więc: oprócz dóbr sapieżyńskich, znaczne dobra bilskie, należące do Radolińskich, dalej Czarnków (miasto i 10 wsi) Świnarskich, Chodzież (miasto i 7 wsi) Grudzińskich [5]), Gołańcz Mielżyńskich, Margonin Skorzewskich (właścicieli dóbr łabiszyńskich w okręgu bydgoskim) i inne. Na północ od Noteci już znaczna większość wielkich dóbr była własnością niemiecką: dobra wieleńskie (v. Blankensee), Krajenka (miasto i 8 wsi, sprzedane przez ks. Sułkowską hr. v. Flotow), Tuczno (v. Schmettau), Trzcianka i Człopa (miasta i 10 wsi, prywatna własność króla pruskiego), Złotów (miasto i 22 wsie, v. Fahrenheita); nadto

---

[1]) Z pośród bardziej znanych rodzin spotykamy tu (1790 r.): Zakrzewskich, Działyńskich, Kościelskich, Grabskich, Dąbskich, Biesiekierskich, Mieczkowskich, Mierosławskich i innych. Niektóre z tych rodzin osiadłe są w tychże stronach do dziś dnia.

[2]) Ludność w okręgach wiejskich (posiadłość prywatna) r. 1788 (według Holsche'go):

Okręg wałecki	na północ od Noteci	18.194
(Crone)	„ południe od Noteci	8.096
Okręg kamiński	„ północ od Noteci	30.320
(Camin)	„ południe od Noteci	5.881
Okręg bydgoski	„ północ od Noteci	10.196
	„ południe od Noteci	6.500
Okręg inowrocławski		12.531

[3]) Przez owdowiałą księżnę Sapieżynę, Sułkowską z domu, znaną z nienawiści do Fryderyka II.

[4]) Wartości ponad 100.000 talarów.

[5]) Grudziński był dowódcą powstania nad Notecią w r. 1794.

Frydland (miasto i dobra) należał do Blankenburgów od końca XVI. wieku. W polskim ręku były już tylko: w północnej części okręgu kamińskiego Łobżenica z Wierzbna Rydzyńskich [1]) i Więcbork-Sępolno (miasta i 24 wsie), Potulickich; właściciele nie mieszkali w tych dobrach, przebywali w Rzeczypospolitej.

Wielkie dobra, należące do Niemców, znajdowały się przeważnie w północno-zachodnim kącie Wielkopolski, między Notecią, Drawą (Dragą) i Głdą (Kudów). Ta część kraju, to obecny powiat wałecki w Prusiech Zachodnich, oraz północna część powiatów: wieleńskiego i czarnkowskiego w W. Ks. Poznańskiem; Polaków niema tu dziś prawie zupełnie. Z rąk czysto polskich przeszła tu była w niespełna dwadzieścia lat po zaborze ogromna większość ziemi w ręce prywatnych właścicieli niemieckich, króla i rządu pruskiego. W całym zaś okręgu wałeckim ówczesnym [2]) należały około 1790 r., nie licząc domen rządowych, 62 majątki ziemskie do 14 rodzin niewątpliwie polskich, 70 do 15 właścicieli niemieckich (w ich liczbie króla pruskiego), oraz 10 do Golczów (v. der Goltz). Z pośród wszystkich wyliczonych przez Holsche'go większych dóbr w kraju nadnoteckim (wartości ponad 100.000 talarów) 11 było w rękach prywatnych właścicieli niemieckich, 20 w polskich, 2 należały do niepewnych pod względem narodowościowym Golczów.

Ile „holendrów" i innego rodzaju osadników, służby, oficyalistów, dzierżawców niemieckich, od zaboru do końca rządów Frydryka II., napłynęło do dóbr, które już w tym okresie przeszły były w ręce niemieckie, — a także i do posiadłości polskiej (panowie polscy osadzali też Niemców na swych wyludnionych obszarach), — trudno z pewną ścisłością orzec, wobec braku wszelkich w tym względzie statystycznych danych. Sądzimy wszakże, na podstawie ogólnych wiadomości, powyżej rozważanych, że w swej sumie osadnictwo niemieckie w posiadłości prywatnej, o wiele obszerniejszej i mniej zaludnionej niż posiadłość rządowa, od osadnictwa w tej ostatniej zapewne nie było mniejszem.

Gdy przypomnimy sobie i zliczymy wszystkie rozważone przez nas dotychczas pozycye napływu niemieckiego do „powiatu

---

[1]) Dawniej Radolińskich.

[2]) Do okręgu wałeckiego należały Kreisamty: Czarnków na południe od Noteci, Frydland, Wieleń i Neuhof (Nowydwór), prawie całe położone na północ od Noteci.

nad Notecią", przyjść musimy do wniosku, iż blisko połowa ludności ewangelickiej, wykazanej przez Holsche'go dla 1785 r. (70.989), była to ludność niemiecka, która od zaboru do tegoż roku osiadła w kraju nadnoteckim, wraz z jej przyrostem naturalnym w odnośnym międzyczasie (osadnicy wiejscy: holendrzy, emfiteuci, koloniści i t. d., osadnicy miejscy, a więc „profesyoniści" różnego rodzaju, robotnicy miejscy, wiejscy i zajęci przy robotach publicznych, właściciele dóbr, dzierżawcy i oficyaliści, urzędnicy, nauczyciele, wojsko, razem około 30 tysięcy dusz)[1]. Podnieść nadto należy, że ludność ewangelicka, znajdująca się w czasie zaboru w późniejszym „powiecie nad Notecią", wykazywała według spisów pruskich większą liczbę osób w rodzinie niż ludność katolicka[2], a więc z pewnością i w następnym, badanym przez nas okresie, rozmnażała się od niej silniej, dzięki pomyślniejszym naogół warunkom bytu, wyższej kulturze i szczególniejszej opiece rządu pruskiego. Ludność zaś katolicka nietylko rozmnażała się słabo, ale i wychodziła z kraju.

Tak więc w tej części Wielkopolski, która zabrana została przez Prusy już przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej i otrzymała nazwę „powiatu nad Notecią", a obecnie stanowi większą część rejencyi bydgoskiej w W. Ks. Poznańskiem i dwa powiaty Prus Zachodnich (wałecki i złotowski), — ludność ewangelicka, przy przechodzeniu kraju pod rządy obce, wynosiła nie 40% ludności ogólnej, jak to przyjęliśmy dla 1785 r., ale 20 do 22% co najwyżej.

---

[1]) T. Morawski podaje, iż w ciągu tylko trzech pierwszych lat budowy kanału bydgoskiego, ludność niemiecka odnośnej dzielnicy wzrosła o 14.000 dusz.

[2]) Beheim-Schwarzbach, *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens"*.

Z. Kirkor.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Organizacya władz samorządnych w jenerał-gubernatorstwie warszawskiem.

Zakres pojęcia samorządu jest dość chwiejnym. Zazwyczaj nazywamy samorządem udział ludności we wykonywaniu władzy, ale to określenie wymaga dalszych wyjaśnień. Specyalnie w stosunkach okupacyjnych niewiadomo nieraz, co nazwać samorządem, gdyż nieraz instytucye, które pochodzą z pośród miejscowej ludności i na jej zaufaniu opierają swoją działalność, formalnie opierają się wyłącznie na rozporządzeniach władzy okupującej. A znów we właściwych już instytucyach samorządnych nie zawsze mamy do czynienia z wyborem, dokonywanym przez ludność, czasami wydane rozporządzenia zapowiadają tylko wybory na przyszłość, na razie zadowalniają się nominacyą.

Co ważniejsza, przyjęło się u nas, by uważać za organizacye w pewnem znaczeniu samorządne różne zrzeszenia społeczne, jak Rady opiekuńcze, Komitety Ratunkowe, Macierz szkolną itp., powołane z pośród społeczeństwa, które rozwijają bardzo żywą działalność i pełnią wiele tych funkcyi, które gdzieindziej przypadają władzom samorządnym, a nawet państwowym. Jednak mimo wyjątkowego ich znaczenia, te wszystkie instytucye są tylko społecznemi instytucyami, nie mają publicznego charakteru.

Inaczej już rzecz się przedstawia z udziałem ludności w organizacyi szkół publicznych i sądownictwa. Tutaj już możemy z większą słusznością mówić o samorządzie. Ale te specyalne dziedziny nie zajmują nas na razie. Chcemy tu przedstawić organizacyę władz samorządnych w ciaśniejszem znaczeniu wyrazu, to jest władz, stanowiących części składowe organizacyi państwowej. Chcemy tu przedstawić udział ludności w organizacyi gminy, powiatu, wreszcie w zarządzie całego kraju.

1. Samorząd lokalny. Wszystkie gminy, znajdujące się na obszarze okupacyi, dzielą się pod tym względem na trzy kategorye. Najpierw jest miasto stołeczne Warszawa, które ma osobną ordynacyę miejską. Potem jest szereg miast i większych miasteczek, które podlegają ordynacyi miejskiej, wydanej dnia 19-go czerwca 1915 r. przez Naczelnego wodza na wschodzie, v. Hindenburga. Pozatem jest cała masa miasteczek i wszystkie osady wiejskie, których stosunki nie są uporządkowane osobną ustawą; podlegają one bezpośrednio władzom wojskowym.

Tak więc organizacya samorządu nie jest pełną, posiadają go tylko ważniejsze centra ludnościowe.

Zajmijmy się najpierw t. zw. ordynacyą Hindenburga jako chronologicznie wcześniejszą. Ordynacya ta, obowiązująca od 1-go lipca 1915 r., nadaje podlegającym jej gminom miejskim „prawa korporacyjne i prawa samorządu pod nadzorem państwowym". Szereg spraw gminnych wymienia odrazu ta ordynacya, inne jeszcze mogą być przekazane gminom przez władzę nadzorczą, którą w miastach, gdzie są prezydya policyjne, wykonuje prezydent policyi, a zaś w innych miastach naczelnicy powiatu (§ 30). Gdy przyjrzymy się bliżej tym sprawom gminnym, to zauważymy, że są to sprawy, które należą przeważnie w Galicyi do tak zw. własnego zakresu działania: zarząd majątkiem, budżet miejski, opieka nad gminnymi środkami komunikacyjnymi, urządzeniami, których wymaga bezpieczeństwo i hygiena publiczna, przedsiębiorstwa miejskie, jak np. wodociągi, oświetlenie itd.; nadto do spraw gminnych należy opieka nad ubogimi i szkolnictwo, o ile nie jest zastrzeżone władzom państwowym. Z tego szczegółowego wyliczenia widać, że zakres spraw miejskich jest bez porównania ciaśniejszy, niż zakres działania gmin w Galicyi.

Co do języka urzędowego, to obowiązuje następujące postanowienie (§ 20): „Językiem urzędowym dla administracyi gminnej jest język niemiecki i polski... Z władzami niemieckiemi komunikować się należy w języku niemieckim. Po niemiecku i polsku brzmieć winny wszystkie obwieszczenia, ogólne zarządzenia i ogłoszenia zarządu miejskiego, jako też wszelkie dokumenty, pieczęcie i stemple".

Władze miejskie stanowi magistrat i „korporacya radnych miejskich". Magistrat składa się z burmistrza jako przewodniczącego, drugiego burmistrza jako jego zastępcy, obydwu mianowa-

nych przez władze, i szeregu ławników i płatnych członków, wybieranych przez Radę miejską. O ile jednak ich wybór nie uzyska zatwierdzenia władzy nadzorczej, to wtedy przysługuje jej prawo nominowania tych ostatnich.

Korporacya radnych miejskich liczy 24 członków w miastach do 200.000 mieszkańców, a 36 członków w miastach powyżej tej cyfry. Korporacya ta jest w zasadzie wybieralną. Ale gdy ona powstaje poraz pierwszy, to znajduje zastosowanie nominacya przez władzę nadzorczą. Dlatego też wydanie ordynacyi wyborczej zapowiedziane jest na czas późniejszy, obecnie ta sprawa nie jest aktualną. Przewodniczącego rady miejskiej mianuje, z grona radnych, władza nadzorcza (§ 19).

Rada miejska — jeżeli mamy używać tego przyjętego w praktyce określenia — decyduje we wszystkich ważniejszych sprawach, oddanych w zakres działania gminy. Podstawą jednak do tych decyzyi są tylko wnioski magistratu. Radzie miejskiej przysługuje za to prawo zwracania się z zażaleniami na magistrat i na deputacye (komisye) miejskie. W razie konfiktu w sprawie, niecierpiącej zwłoki, między magistratem a radą miejską, rozstrzyga władza nadzorcza.

Nadto magistrat, za zezwoleniem władzy nadzorczej, może powołać osobne deputacye dla różnych spraw miejskich, w których skład mogą wejść prócz członków magistratu i radnych miejskich także jeszcze osoby, mające prawo obywatelstwa w gminie.

Wyjątkowe stanowisko zajmuje burmistrz, gdyż on, prócz swoich funkcyi w zakresie spraw miejskich, „wykonuje miejscową władzę policyjną w imieniu Rzeszy niemieckiej“. W tym celu mianuje on niższe organy policyjne za zezwoleniem władzy nadzorczej; ciężar finansowy policyi miejscowej, nawet i wtedy, gdy wykonują ją władze państwowe, w całości spada na miasto. Również burmistrz mianuje wszystkich urzędników i funkcyonaryuszy miejskich, chyba że to jest zastrzeżonem władzy nadzorczej (§ 22).

Tak przedstawiają się najważniejsze postanowienia ordynacyi miejskiej, po dziś dzień obowiązującej w jenerał-gubernatorstwie warszawskiem z wyjątkiem stołecznego miasta Warszawy. Ma ta ordynacya charakter prowizoryczny przez to, że na każdym kroku zastrzega wpływ władzy nadzorczej, że przedewszystkiem nie wprowadza zasady elekcyjności, zastrzegając ją na później. Pozatem podstawowe jej idee organizacyjne nie sprzyjają takiemu samo-

rządowi, jaki obowiązuje np. w Austryi. Ten ostatni na pierwszy plan wysuwa wybieralną radę gminną, której przyznaje bardzo rozległy zakres działania i stanowczą decycyę w bardzo wielu sprawach. Natomiast w ordynacyi Hindenburga rada miejska ma ograniczony zakres działania, nie ma prawa samodzielnego stawiania wniosków; jakkolwiek w zasadzie ma pochodzić z wyborów, to w każdym razie przewodniczący jej zawsze ma być powoływanym drogą nominacyi. Magistratowi przysługują o wiele większe prawa i bezwarunkowo w administracyi gminnej wysuwa się na plan pierwszy. Jak wiadomo, w razie niezatwierdzenia wyboru rady przez władzę, także i inni członkowie magistratu prócz burmistrza i jego zastępcy mogą być mianowanymi. Pierwszy burmistrz zaś choćby przez to, że mianuje sam wszystkich urzędników miejskich i policyjnych, zyskuje ogromnie mocne stanowisko w zarządzie miasta.

Cały ten typ samorządu, oparty *mutatis mutandis* na wzorach pruskich, odpowiada wybitnie duchowi państwa centralistycznego, w którym potrzeba silnej, sprawnej władzy państwowej wysuwa się na plan pierwszy, współudział zaś ludności miejscowej ma znaczenie pomocnicze.

Wydana dnia 5. maja 1916 przez jenerał-gubernatora v. Beselera ordynacya miejska dla stołecznego miasta Warszawy nie różni się niczem od poprzedniej ordynacyi co do zakresu spraw miejskich. Podobnym zupełnie jest też charakter i wzajemny stosunek władz miejskich. Prezydent i jego dwaj zastępcy są mianowani przez władzę; wyboru 12 rajców dokonuje Rada miejska na zasadzie proporcyonalności. W razie ich niezatwierdzenia ma się powtórzyć wybory, dopiero gdyby te nie zostały zatwierdzone, mianuje ich władza nadzorcza.

Funkcye Rady miejskiej, jak również jej prawa określa ta ordynacya tak samo jak poprzednia. Tak więc co do skromnego zakresu działania, ograniczonej inicyatywy, możności wnoszenia zażaleń na magistrat przed władzę nadzorczą, nie różnią się niczem kompetencye rady warszawskiej od kompetencyi innych rad miejskich w jenerał-gubernatorstwie warszawskiem. Analogicznie też jest uregulowanem stanowisko prezydenta miasta, jak burmistrzów po innych miastach. Dwa tylko momenty nadają wyjątkowe znaczenie warszawskiej ordynacyi miejskiej: 1) postanowienia o języku

urzędowym i 2) wydanie ordynacyi wyborczej i faktyczne, nawet szybkie przeprowadzenie wyborów.

W przeciwieństwie do treści ordynacyi z 19. czerwca 1915 r., ordynacya dla miasta Warszawy nadaje jedynie językowi polskiemu charakter języka urzędowego. Ten charakter zatrzymuje on także w korespondencyi z władzami niemieckiemi. Wymaga się tylko, by w tej korespondencyi załączono zawsze uwierzytelnione tłómaczenie na język niemiecki (§ 20). Różnicy w traktowaniu miasta stołecznego i miast prowincyonalnych nie można wytłómaczyć względami natury rzeczowej, zadecydowały tu tylko momenty polityczne. W każdym razie odmienne traktowanie stolicy od ogółu miast w okupacyi jest bardzo charakterystycznem.

Uwidocznia się to i w przeprowadzeniu wyborów do Rady miejskiej w Warszawie. Wydana równocześnie ordynacya wyborcza dla Rady miejskiej miasta Warszawy opiera się na dwóch zasadniczych zasadach: 1) idei podziału wyborców na kurye zawodowe; 2) idei wyborów proporcyonalnych. Z pośród sześciu kuryi, z których każda wybiera 15 posłów, pięć pierwszych bierze za podstawę stosunki majątkowe względnie zawód ludności, a zaś ostatnia ma charakter powszechny z bardzo małemi ograniczeniami. Pierwszą kuryę stanowią właściciele domów i gruntów, drugą więksi przedsiębiorcy przemysłowi i handlowi, trzecią „zawody uczonych“ — poprostu tak zw. inteligencya, czwartą mniejsi przedsiębiorcy handlowi i rzemieślnicy, piątą wreszcie osoby, opłacające podatek mieszkaniowy. Kurya trzecia rozbita jest na specyalne grupy zawodowe (duchownych, prawników, „medycynerów“, techników i resztę „inteligencyi“ i wybiera większością głosów, w pozostałych kuryach obowiązują wybory proporcyonalne (art. 3 i 4 ordynacyi wyborczej). Wybory są tajne. Co do biernego prawa wyborczego obowiązuje władanie językiem polskim w słowie i piśmie (art. 2 i 6).

2. S a m o r z ą d p o w i a t o w y. Drugiem ogniwem w budowie samorządu jest samorząd powiatowy. Rzecz ta została uregulowa ordynacyą powiatową dla jenerał-gubernatorstwa warszawskiego z dnia 22. stycznia 1916 r., obowiązującą od 1. marca 1916 r. Według niej każdy powiat tworzy tak zw. „związek komunalny“ dla samodzielnego zarządzania swemi sprawami i ma prawa korporacyjne; nadto szef administracyi cywilnej może łączyć szereg powiatów w jeden związek dla pewnych celów administracyjnych

(art. 1). Do zakresu działania powiatu należą następujące sprawy: 1) opieka nad ubogimi; 2) sprawy komunikacyjne; 3) sprawy zdrowotności publicznej; 4) inne zadania, zwłaszcza gospodarcze, niewymienione szczegółowo, których może się podjąć powiat za zezwoleniem władzy administracyjnej. Co do opieki nad ubogimi, należy do powiatu wspieranie rodzin osób powołanych do wojska, opieka nad ubogimi przy współudziale gmin, utrzymywanie zakładów dla ubogich w powiecie. Co do budowy dróg (gościńców i kolei żelaznych), przewiduje ordynacya samodzielną budowę tych dróg przez powiat, przejęcie i utrzymywanie pobocznych gościńców, zbudowanych przez zarząd państwowy, wreszcie współudział w ponoszeniu kosztów budowy dróg głównych i kolei żelaznych, budowanych przez zarząd państwowy. Do spraw zdrowotności publicznych należy utrzymywanie szpitali, walka z zarazami, koszty szczepienia i dezynfekcyi, urządzenia hygieny publicznej (art. 2).

Fundusze powiatowe pochodzą: 1) z funduszu dotacyjnego, przeznaczonego na rzecz powiatów, na które składają się podatki od psów, od transportu i udział w niektórych podatkach i dodatkach do podatków, pobieranych przez państwo; 2) z bezpośrednich podatków i dodatków do podatków (art. III A) i opłat, wprowadzonych przez powiat; 3) z monopoli, wprowadzonych na artykuły pierwszej potrzeby i pośrednich podatków; 4) pożyczek; 5) z źródeł prywatno-gospodarczych (art. III).

Władze powiatowe stanowi naczelnik powiatu i sejmik powiatowy. Sejmik zbiera się na wezwanie naczelnika, który przewodniczy obradom i głosuje narówni z innymi. Przy równości głosów jego głos rozstrzyga. Wnioski w sprawach powiatowych przedstawia naczelnik. Jeśli sejmik ich nie uchwali, to szef administracyi cywilnej może mimo to zatwierdzić wniosek na propozycyę naczelnika powiatu. Sam tylko naczelnik mianuje urzędników powiatowych. Szef administracyi cywilnej przy jenerał-gubernatorstwie zatwierdza przejęcie niektórych zadań przez powiat, pożyczki powiatowe, preliminarz budżetowy, urzędników powiatowych i ich uposażenie (art. VI, VII, X).

Faktycznie więc kompetencya sejmiku jest minimalna. Uchwały jego mają wtedy tylko znaczenie, gdy godzi się na nie naczelnik powiatu. W razie konfliktu tylko ten naczelnik ma przedstawić odpowiedni wniosek szefowi administracyi cywilnej. Sejmikowi nie

przysługuje prawo wnoszenia zażaleń na naczelnika powiatu. W tych warunkach sejmik jest faktycznie tylko, mimo innych pozorów, przyboczną radą naczelnika, którą on zresztą dowolnie zwołuje.

Sejmik powiatowy składa się z 12—24 członków, wybieranych w zasadzie na 6 lat przez mieszkańców powiatu. Zasada wybieralności nie weszła jednak dotychczas w zastosowanie, gdyż do pierwszego sejmiku mianuje członków i uzupełnia jego skład szef administracyi cywilnej. Dopiero w ostatnich czasach, zapewne w związku z zapowiedzią utworzenia państwa polskiego, wydano ordynacyę wyborczą dla sejmików. Wyboru deputatów do sejmiku dokonują trzy związki wyborcze czyli kurye: 1) większych właścicieli ziemskich: 2) gmin wiejskich; 3) miast. Do pierwszej grupy należą właściciele posiadłości, mającej przynajmniej 150 morgów lub dom mieszkalny, oszacowany dla ubezpieczenia od ognia na przynajmniej 30.000 rubli, w końcu więksi właściciele fabryk i kopalni. Deputatów w drugim związku wyborczym wybierają gminy wiejskie, w trzecim wybiera ich rada miejska i magistrat na wspólnem posiedzeniu. Wyborów dokonuje się zwyczajną większością głosów. Na miasta przypada tylu deputatów, ile wynosi stosunek liczby ludności miejskiej do całej ludności wiejskiej. Resztę zaś deputatów rozdziela się narówni między właścicieli większych posiadłości i gminy wiejskie.

Jak już widać z przedstawienia zakresu działania powiatu, nie stanowi on wyższego ogniwa samorządu w stosunku do samorządu gminnego, a to w tem znaczeniu, by był niejako dla niego władzą drugiej instancyi. Jest to poprostu szerszy terytoryalnie związek komunalny, mający swoje własne zadania. Miasta Warszawa i Łódź stanowią specyalne powiaty miejskie. Funkcye, przeznaczone dla naczelnika powiatu i dla sejmiku pełnią wprowadzone tam władze miejskie zgodnie z ordynacyą miejską (art. IX). Pod tym względem te dwa powiaty miejskie i wszystkie inne powiaty stanowią równorzędne ogniwo administracyjne.

3. Samorząd krajowy. Budowa samorządu wymaga stworzenia organu wyższego, któryby objął w jedną całość samorządy powiatowe. W ostatnich czasach wydano rozporządzenia o Radzie Stanu i Sejmie, które jednak nie są jeszcze aktualne ze względu na mające dopiero nastąpić porozumienie z władzami austro-węgierskiemi i trudności w przeprowadzeniu wyborów. Na razie ma

tylko być utworzoną prowizoryczna Rada Stanu, złożona z mianowanych członków.

Zawarte w tem rozporządzeniu postanowienia dotyczą tylko okupacyi niemieckiej. Według nich wybierają do Sejmu 70 posłów powiaty ziemskie i miejskie w okupacyi niemieckiej. W spisie powiatów nie znajdujemy wszystkich powiatów gubernii suwalskiej i trzech powiatów gubernii chełmskiej, należących do okupacyi niemieckiej. Kwestya udziału okupacyi austryackiej ma być później uregulowana.

Gdy ogłoszono rozporządzenia o Sejmie i Radzie Stanu, spodziewano się, że te instytucye obejmą właściwe funkcye państwowe w Królestwie Polskiem. Bliższe wejrzenie w treść tego aktu dowodzi czegoś innego. Sejm ze względu na swoj zakres działania nie ma charakteru państwowego Sejmu, lecz jakiegoś ziemstwa prowincyonalnego o ciasnej bardzo kompetencyi.

Między sprawami, które załatwia Sejm, wymienia to rozporządzenie: użycie znanego nam z rozporządzenia o samorządzie powiatowym funduszu dotacyjnego dla finansów powiatowych, użycie funduszu melioracyjnego krajowego, zamieszczonego dotąd w budżecie jenerał-gubernatorstwa, jak i funduszu dla odbudowy zniszczonych miejscowości. A więc wyraźnie wymieniony zakres działania Sejmu jest następujący: poparcie finansowe powiatów, melioracye i odbudowa zniszczonych miejscowości. Nadto jenerał-gubernator może przekazać Sejmowi inne jeszcze sprawy. Dla tych wszystkich celów może Sejm zaciągać pożyczki i wprowadzać dodatki do podatków bezpośrednich. Wszystkie uchwały, jak i wybór prezesa Sejmu, wymagają rządowego zatwierdzenia.

Rada Stanu jest organem, złożonym z prezesa, mianowanego przez jenerał-gubernatora i członków częściowo wybranych, a częściowo mianowanych. Z terytoryum jenerał-gubernatorstwa wybiera Sejm ośmiu członków na zasadzie proporcyonalności, jenerał-gubernator ma prawo powołać ze swej strony czterech członków. Co do udziału okupacyi austro-węgierskiej, to ta rzecz zostawiona jest dalszemu porozumieniu się z rządem austro-węgierskim. Szef administracyi cywilnej ma być komisarzem jenerał-gubernatora przy Radzie Stanu, on też zwołuje posiedzenia Rady. Językiem obrad tak Rady Stanu, jak i Sejmu jest język polski. Na żądanie komisarza lub jego zastępcow, którzy sami mogą się

posługiwać językiem niemieckim, mają być tłómaczone przemówienia na język niemiecki.

W jakim stosunku pozatem Rada Stanu pozostaje do Sejmu? Ma ona przygotowywać uchwały Sejmu, nadto ma prawo stawiać wnioski w sprawach kraju, zapewne na ręce jenerał-gubernatora. Prócz tego obraduje ona nad projektami ustaw, przekazanymi jej przez jenerał-gubernatora i przedkłada mu swą opinię.

Z tych krótkich postanowień widać, że Rada Stanu jest przedewszystkiem doradczym organem jenerał-gubernatora. Prócz zasady, że Rada Stanu przygotowuje uchwały Sejmu, nie mamy wskazówek co do ściślejszego związku między Sejmem a Radą, nie mamy postanowień, któreby z tej ostatniej czyniły organ wykonawczy, bezwzględnie Sejmowi podporządkowany. Wogóle Sejm nie ma żadnych organów wykonawczych.

Pozostaje to w związku z całym charakterem Sejmu. Nie jest on nawet organem zwierzchnim, sprawującym nadzór nad samorządem powiatowym. Dysponuje tylko funduszem dotacyjnym, nie wiemy jednak, w jakim kierunku mógłby on wykonywać kontrolę co do zużycia tych funduszów. Postanowienia co do spraw zastrzeżonych państwu, „władzy nadzorczej", w rozporządzeniach, regulujących samorząd miejski i powiatowy, pozostają w całej swojej mocy, bez przeniesienia ich na Sejm lub Radę Stanu.

Przepisy, wydane co do Rady Stanu i Sejmu są bardzo ogólnikowe, zapewne w niejednym kierunku ulegną zmianie. Na razie jednak tem wszystkiem, co przekazano Sejmowi, mogłaby się trudnić z powodzeniem społeczna instytucya, Rada opiekuńcza lub Towarzystwo rolnicze, nie potrzebaby do tego tworzyć osobnej instytucyi. A jeżeli już się ją tworzy, to dla ścisłości możnaby jej dać nazwę, lepiej odpowiadającą celowi. Z wyrazem „Sejm", zwłaszcza „Sejm Królestwa Polskiego", łączą się u nas bardziej szerokie wyobrażenia.

Wogóle cały ustrój władz samorządnych w jenerał-gubernatorstwie warszawskiem nosi na sobie wybitne piętno stosunków okupacyjnych. Pod tym wzgledem ostatnie kreacye nie stanowią wyjątku. Przejawia się to najpierw w niekompletnej budowie tego samorządu. Samorząd gminny istnieje tylko po miastach. Następnie rola władzy nadzorczej jest bardzo znaczna, przejawia

się zarówno w prawie zatwierdzania uchwał ciał samorządnych, jak i w wielkim wpływie na ich skład za pośrednictwem nominacyi. Przytem wszystkie organy samorządu są bezpośrednio podporządkowane władzy nadzorczej, nie stanowią zaś zamkniętego w sobie organizmu, któryby tylko przez swoich głównych przedstawicieli porozumiewał się z władzą okupacyjną. W końcu zakres działania tych wszystkich władz jest bardzo ciasny, inicyatywa ograniczona. Najjaskrawiej ta rzecz występuje w rozporządzeniu o Sejmie, które zostało wydanem już w ostatnich czasach.

Dr, M. Z. S.

List Henryka Sienkiewicza w sprawie szkolnej do Redakcyi „Rusi“ [1]).

Szanowny Panie Redaktorze!

Na zebraniu, które z powodu kwestyi szkolnych odbyło się niadawno w Warszawie, pan Kurator okręgu naukowego warszawskiego wypowiedział myśl następującą:

Rozumiem, rzekł, że naród, mający za sobą taką przeszłość, taką odrębną cywilizacyę i taką bogatą literaturę, jak polski, upomina się o szkołę polską, obawiam się jednak, że szkoła taka wychowywałaby wroga wewnętrznego w państwie rosyjskiem i zamiast zbliżać dwa społeczeństwa, pogłębiałaby jeszcze dzielącą je przepaść.

Bawiąc za granicą, czytałem te słowa w sprawozdaniu z wiecu, które wyszło w osobnej broszurze, nie wiem zatem, o ile powtórzono je literalnie, sądzę wszelako, że treść ich była niewątpliwie taka, a nie inna. Jeżeli tedy p. kurator rozumie, że naród z taką przeszłością dziejową i taką literaturą upomina się o szkołę własną, to tem samem przyznaje, że powinienby ją mieć i że miałby ją, gdyby nie owa obawa, że owa szkoła wytworzy wrogów wewnętrznych.

Poczucie, że stan szkolnictwa w Polsce woła wprost o pomstę do Boga i że trzeba w jakikolwiek sposób złemu zaradzić, ogarnęło już szerokie warstwy narodu rosyjskiego, być może jednak, że znaczna jego część podziela obawy, jakim p. kurator dał wyraz. Dlatego, pomijając w dalszym ciągu listu jego osobę, zwra-

[1]) List ten napisał Sienkiewicz w roku 1905 i posłał w oryginale polskim do redakcyi dziennika petersburskiego „Ruś“. Czy się w tem czasopismie przekład listu ukazał, nie wiemy. Po Warszawie krążył w licznych odpisach *(Ign. Ch.)*.

cam się wprost do opinii rosyjskiej i do tych osobistości, w których ręku spoczywa przyszłość sprawy.

Wierzę przytem, że jako realiści, nie będziecie się lękali spojrzeć w oczy rzeczywistości i że fakta silniej do was przemówią od frazesów.

Postawcie więc tym, którzy się obawiają, że szkoła polska wytworzy wrogów wewnętrznych i pogłębi przepaść dzielącą oba narody, następujące pytanie:

— Czy istniejąca dotychczas rosyjska i rusyfikacyjna szkoła wytworzyła przyjaciół państwa i społeczeństwa?

Na tem pytaniu mógłbym poprzestać, albowiem dają na nie odpowiedź fakta i żaden Rosyanin, który nie chce zadać gwałtu własnemu rozumowi, lub który dla osobistych korzyści nie poświęca interesów oba narodowości, nie może tym faktom zaprzeczyć.

Dodaję więc tylko kilka słów objaśnienia:

Nie posłuchano cesarza Aleksandra II., który jaknajsurowiej potępił kierunek, usiłujący ze szkoły uczynić narzędzie polityczne; nie posłuchano Milutyna, który również z całą siłą przekonania wypowiedział się przeciw tego rodzaju tendencyi — i zaprowadzono szkołę taką, jaką ona dziś jest, to jest rosyjską i rusyfikacyjną.

I nadszedł okres apuchtinowski; nadeszły czasy polityki we wszystkich zakładach naukowych, począwszy od elementarnych, a skończywszy na uniwersytecie. Język polski uczyniono nieobowiązującym i zaczęto go wykładać narówni z innymi przedmiotami po rosyjsku; powprowadzano idyotyczne podręczniki, w których można znaleźć takie np. wiadomości, że Wiedeń oswobodzili od najścia Turków kozacy; poczęto karać za każde słowo polskie, wymówione w murach szkolnych, jak za przestępstwo; łżono przeszłość polskiego narodu, jego czyny i jego historyę; urągano językowi; poniewierano wszystkiem, co mogło być polskiemu dziecku bliskiem i drogiem — i wypędzano ze szkół za najmniejszy protest przeciw tej codziennej ohydzie.

I co się stało?

Oto szkoła stała się wprost katownią, i nieszczęściem społecznem, i tragedyą dla wychowańców. Lata dziecinne i lata młodości zmieniły się w Królestwie Polskiem, literalnie, w lata niedoli i męczarni.

A jednak rodzice posyłali dzieci nawet i do takich szkół, — posyłali i dla tych okruchów nauki, chociaż skaleczałej i zapra-

wionej polityką, i dla świadectw i patentów, bez których człowiek stawał się w państwie paryasem. Ale co się działo w ich sercach, i co w sercu polskiego dziecka, które musiało chodzić do takiej szkoły, ścinać zęby i milczeć, — a co więcej, wydawać lekcye i powtarzać na pamięć za nauczycielem to wszystko, co było bluźnierstwem przeciw jego polskiej duszy? Jakie musiały się w niem zbierać pokłady pogardy i nienawiści? A przecie byli to jedynie Rosyanie, z któremi się to dziecko stykało, i z nich tylko mogło sądzić o państwie i narodzie.

Za owo zaś zamknięcie się w sobie, za ów milczący protest, wreszcie za tę nieufność i pogardę, która od czasu do czasu przebłyskiwała z jego oczu, zostało i samo znienawidzone. I nie mogło być inaczej, albowiem słowa Tacyta: „*Proprium humani ingenii est odisse, quem laeseris*“ — są i pozostaną wieczną prawdą.

W ten sposób powstawały dwa przeciwne obozy: jeden stanowiła obca i wroga narodowi szkoła z całym stojącym za nią administracyjnym i policyjnym aparatem, drugi: dzieci, rodzice, ich poczucie niedoli i poczucie krzywdy, które odczuwał cały naród. Tragedya zaś stawała się tem bardziej rozdzierającą, że każdy (prócz tych chyba, którym przynosiły korzyść pensye) czuł, że ta haniebna szkoła mija się nawet z tym celem, który sobie założyła, że przeciwnie: szkodzi nawet i rosyjskiemu państwu, że wykopuje naprawdę niezgłębioną przepaść między dwoma narodami — i że ucisk i męka i deprawacya charakterów istnieją, z niewypowiedzianą dla obu stron szkodą, tylko dla samych siebie.

I w takich warunkach upływały dziesiątki lat!

Ktoby mi chciał zarzucić, że maluję rzeczy zbyt czarno, ten albo nie zna tutejszych stosunków, tak jak ja je znam, albo kłamie rozmyślnie. Mój „Pamiętnik nauczyciela poznańskiego“ jest przeniesiony w stosunki poznańskie tylko dlatego, że inaczej nie byłaby go puściła warszawska cenzura. Doszło do tego, że nawet tak zwani ugodowcy wysyłali dzieci do szkół zagranicznych, a jeden z nich zapytany, dlaczego tak czyni, odrzekł, iż woli, by jego synowie odsłużyli później, jako nie posiadający świadectw szkolnych, pięć lat w rosyjskiej armii, niż, żeby im całe dzieciństwo i młodość miały upłynąć wprost w męczarni w rosyjskiej szkole, która zresztą uczy tylko nienawiści do Rosyi.

A wobec tego, czemże jest obawa, aby polska szkoła nie wytworzyła wrogów wewnętrznych?

Lecz mógłby kto rzec, że szkoła rosyjska działała tak dlatego, że była złą, lepsi ludzie pozostawali w Rosyi, — gorsi przychodzili do nas, że łapownictwo nie było ścigane, — i że gdyby było przeciwnie, gdyby profesorowie rosyjscy byli wzorowymi pedagogami, to rezultaty mogłyby być inne.

A więc pomijam, że powszechny system wychowania był w całem państwie zły, bo był policyjnym i politycznym nie zaś pedagogicznym, — i odpowiadam, co następuje:

Jeżeli wielu, a może już większość Rosyan żywi przekonanie, że naród z taką przeszłością, z taką odrębną cywilizacyą i taką bogatą literaturą, jak polski, ma prawo upominać się o własną szkołę, to pozwólcie sobie powiedzieć, że społeczeństwo nasze żywić musi to przekonanie w stopniu stokroć wyższym. Tymczasem cóż się dzieje? Oto szkoły są rosyjskie! Więc choćby pedagogowie byli jaknajlepsi, każde dziecko polskie wchodzi do tej szkoły z przekonaniem, że skoro ona jest rosyjską, a nie polską, to tem samem jego ojczystemu językowi, jego ojczyźnie, to jest temu, co mu jest najdroższe i najbliższe, dzieje się krzywda. I oto odrazu szkoła dzieli się na dwa obozy: „krzywdzicieli i pokrzywdzonych", czy zaś w takiej szkole może kwitnąć nauka i wychowanie, czy raczej nie zabarwi się ona odrazu polityką i nienawiścią — niech wasz rozsądek sam odpowie na to pytanie.

Zresztą fakta są przed nami. W ostatnich czasach usiłowano oczyścić szkoły, usiłowano nawet poniekąd (zresztą wobec złej woli i oporu tutejszych pedagogów prawie bezskutecznie) polepszyć warunki wykładu polskiego języka — i jakież są rezultaty tych usiłowań?

Oto przy pierwszem powszechnem wstrząśnieniu państwowem zaszły te opłakane, brzemienne klęską wypadki, których jesteśmy świadkami obecnie. Inaczej mówiąc: nienawiść, jaką przez lata ucisku wywołała przeciw sobie szkoła rosyjska, wybuchnęła mocą tak wielką, że dotychczas wybuchu tego nie mogły pohamować żadne usiłowania.

I byłoby złudzeniem lub frazesem godnym tylko agentów policyjnych, nie zaś mężów stanu, twierdzenie, że objawy te są dziełem kilku lub kilkunastu agitatorów. Gdzie niema nagromadzonych prochów, tam rzucane iskry nie spowodują wybuchu. Rzecz stała się możliwą dlatego właśnie, że cały system wychowawczy jest zły, przewrotny, że stracił z oczu cel właściwy, a stał

się tylko politycznem narzędziem bezmyślnego ucisku i ciężkiej niedoli nietylko uczącej się młodzieży, ale i całego kraju. Siał on wiatr, a zebrał burzę, która jako ślepa, na obie strony wyrządza niepowetowane straty.

Więc co pozostaje?

Reforma, ale reforma gruntowna, płynąca z rozumu stanu i ze zrozumienia obustronnego pożytku, — płynąca z dobrej woli, nie połowicznej, nie lękliwej i podejrzliwej, ale pełnej, męskiej, nie bojącej się wyrzec prawdy i iść za prawdą.

Szkoła musi wychowywać oświecone, zdrowe i moralne pokolenia, a takich celów w Polsce może dopiąć tylko szkoła polska. Jasnem jest przytem, że z większą będzie korzyścią, jeśli szkoły w Królestwie będą wychowywały prawych, szczerych i rozumnych obywateli z trochę mniej dokładnem „udareniem“ niż zbolałych i zatrutych jadem nienawiści — z doskonałem „udareniem“.

Kończę wreszcie tą uwagą, że jakkolwiek zabrałem głos w tej sprawie, jako pisarz polski, którego najserdeczniej obchodzi przyszłość kraju i młodych pokoleń, mogę sumiennie powiedzieć, że gdybym był pisarzem francuskim, angielskim, czy choćby niemieckim, a znał równie dobrze stosunki, to i wówczas ze stanowiska rozumu i etyki, nie wygłosiłbym innego zdania.

Notatki.

Ostatnie wydarzenia polityczne dowodzą niezbicie, że mimo podziałów na zabory, mimo różnic, które między częściami narodu wyżłobiły tak rozbieżne warunki bytu, żywem jest u nas poczucie wspólności, poczucie łączności ogólno-narodowej. Już nie w obchodach i uroczystych manifestacyach, lecz i w codziennem życiu politycznem znajduje ono swój wyraz. Sprawa polska występuje w całej swej rozciągłości, jako sprawa ogólno-polska. Nie można już jej rozbijać na drobne części, gdyż te części wykazują organiczną jedność. Jednym z żywych dowodów tego stanu są oświadczenia posłów polskich w Sejmie Rzeszy i pruskiej Izbie poselskiej. Jakkolwiek znane są one z pism, warto przypomnieć najbardziej charakterystyczne ich momenty.

I tak w początkach listopada b. r. w dyskusyi nad sprawą cenzury w Sejmie Rzeszy niemieckiej, zabrał głos poseł Seyda i krytykując niektóre akty władz, nadał swej argumentacyi ogólniejsze uzasadnienie. „Przecież nie ulega żadnej wątpliwości, że Polacy w Rzeszy niemieckiej stanowią integralną część narodu polskiego, liczącego 20 milionów — a my poczuciu jedności narodowej wszystkich Polaków niejednokrotnie dawaliśmy wyraz w tym Parlamencie przed wojną i podczas niej . . . Nie można do rozwiązania kwestyi polskiej powoływać jednej tylko części narodu a nie brać w rachubę jednocześnie drugich jego części — tak jak gdyby dla tychże kwestya polska wcale nie istniała“. . . A zaś w ostatnim czasie imieniem Polaków złożył w Sejmie pruskim w dyskusyi nad wnioskiem pos. Heydenbrandta poseł Styczyński deklaracyę, której treść ma w obecnej dobie znaczenie zasadnicze. Podajemy z niej najważniejsze ustępy: „Mimo przeszło stuletniego rozdziału w różne pod względem państwowym części, naród polski nigdy nie stracił uczucia wspólności narodowej

i prowadził ciężką walkę o wolność narodową. Ciągłe naruszanie prawa narodu do wolności narodowej było, według naszego przekonania, jednym z zasadniczych powodów obecnej wojny światowej. Żywimy jednakże nadzieję, że nie popłynęła nadaremnie krew, obficie przelana w tej wojnie, jeżeli narody Europy dojdą do przekonania, że wolność innych narodów nie sprzeciwia się żywotnym interesom własnego narodu. Uznanie międzynarodowego znaczenia sprawy polskiej jest krokiem naprzód na drodze do jej ostatecznego rozwiązania, którego konieczność sobie ogólnie uświadomiono Ta konieczność uzasadniona jest nie przekonaniem sprawiedliwości wobec narodu polskiego, lecz interesem międzynarodowym, jako ogólna gwarancya pokoju.“

* *
*

Tak brzmią oświadczenia przedstawicieli polskich z zachodnich ziem naszych. Równocześnie i ze wschodu przychodzą głosy, które dają wyraz tym samym ideom zasadniczym. Polskość na Litwie nie może wypowiedzieć formalnie swojego zdania. Nie mówi z trybun parlamentarnych, ustami swoich wybranych przedstawicieli, w inny jednak sposób manifestuje swoje pragnienia i nadzieje. Liczne zebranie działaczy narodowych w Wilnie ogłosiło deklaracyę w sprawie stosunku swojego do Królestwa, zaproponowaną przez tamtejszy Związek patryotek i Ligę Kobiet. Podstawą tego oświadczenia jest przekonanie, że zerwanie związku Litwy z Polską przyniesie w każdych warunkach zagładę żywiołowi polskiemu na Litwie, deklaracyi tej w sformułowanej w sposób uczuciowy, brzmi silnie jedna zasadnicza nuta: „Chcemy być z Polską złączeni na wieki.“ „Chcemy dzielić z nią losy zarówno złe jak szczęśliwe, wspólnemi siłami kruszyć mury naszego więzienia, wspólnie, jeżeli jeszcze czekać wypadnie, trwać i wspólnie witać wschód wolności słońca, gdy zejdzie nakoniec. Chcemy być z Polską czy niepodległą i szczęśliwą, czy też uciśnioną i cierpiącą, nierozdzielnie złączeni. Nie pojmujemy dla siebie innego istnienia i odrzucamy precz wszelką inną choćby w najświetniejsze ułudy przybraną przyszłość. Wy zatem, bracia z Korony, w tym brzasku dnia nowego, co już na niebie świta, zapatrzeni weń i idący ku niemu wielkimi krokami, nie zapominajcie o Litwie! Nie zubożajcie samych siebie, ograniczając żądanie wasze do jednej tylko drobnej dzielnicy“...

Są idee, które tkwią głęboko w duszy narodowej i wcześniej czy później na wierzch wydobyć się muszą. Można je przydusić na jakiś czas frazesami, zdepopularyzować je bezwzględną agitacyą — mimo to zawsze zasadnicza potrzeba wspólności narodowej, która nie godzi się na krajanie całości, odezwie się wcześniej czy później silnem echem. Są ziarna które wschodzą same, choć ich nie sieje żadna agitacya, wyrastają one na ziemi, przygotowywanej starannie przez inny zasiew. Starano się wychowywać społeczeństwo w idei, że celem dążeń jest choćby najciaśniejsza niepodległość, bez względu na granice i prawno-państwowe zabezpieczenia. A tymczasem z dzielnicy, o której przyszłości wiele zapowiadano, a o której dziś zaczyna się już zapominać, odzywa się głos: chcemy być złączeni z Polską, bo każdy inny los przynosi zagładę, chcemy być z Polską wolną lub niewolną, byle razem z Polską!

* * *

Cele wojny są bardzo giętkie. Każda strona wysuwa taki program, na którego urzeczywistnienie może liczyć w danych okolicznościach. Rozszerza go lub ścieśnia, zależnie od przebiegu wypadków wojennych. Robią to zarówno wielkie strony wojujące, które mają wpływ istotny na przebieg wypadków, jak i różne inne organizacye, które chciałyby ten wpływ wywierać. Chodzi o to, by przewidzieć przyszły obrót wydarzeń i odpowiedni cel w odpowiedniej chwili wysunąć; ale czasem zdarzy się zwłaszcza takim mniejszym organizacyom, że się spóźnią z określeniem zmienionego celu. Ogłoszą najpierw jakiś postulat w postaci bezwzględnej, wykluczajacej inne załatwienia, a potem gdy wypadki pójdą inną drogą, usiłują wmówić w ogół, że to właściwie to, co się stało, było zamierzonym celem. Ale niestety, wtedy przypominają się różne dawniejsze oświadczenia.

W r. 1915 wydał N. K. N. w języku niemieckim broszurę prof. M. Straszewskiego, p. t. „*Die polnische Frage*“[1]) Broszurę tę prasa tego kierunku przyjęła z wielkiem uznaniem. Oficyalne wydawnictwo, ogłoszone dla obcych, niewątpliwie w swych konkluzyach zawiera program polityczny tej organizacyi, ujawniony zresztą w ten sposób przy wielu innych sposobnościach. Prof. M. Stra-

[1]) Dr. Moritz Ritter v. Straszewski, „*Die polnische Frage*“ Wien 1915 Verl. des Obersten Polnischen Nationalkomitee.

szewski rozważa kwestyę, co się stanie z ziemiami polskiemi, wydartemi Rosyi. Między innemi omawia taką ewentualność: „Z prowincyi polskich, odłączonych od Rosyi będzie stworzone niezależne państwo pod berłem członka dynastyi Habshurgów lub Hohenzollernów". Omawiając ten wypadek, pisze prof. M. Straszewski: „Zarówno między Niemcami jak i szczególnie między Polakami jest wielu zwolenników takiego rozwiązania kwestyi polskiej. Według mnie jednak jest ono nieodpowiedniem do tego, by mogło zabezpieczyć trwały pokój, a to z następujących względów: W tym wypadku powtórzonoby błędy popełnione na Kongresie wiedeńskim. Ponieważ nie możnaby było podsuwać monarchii austryacko-węgierskiej, by ona traciła po zwycięskiej wojnie Galicyę, największą prowincyę, o którą tak krwawo walczono, to naród polski pozostałby rozczłonkowanym, jak dawniej, między trzy, a nawet raczej między cztery państwa. Wtedy otwarłoby się wdzięczne pole dla agitacyjnej działalności Rosyi. Rosya obiecałaby Polsce, prócz samodzielności, także i zjednoczenie i wskazywałaby na nieznośne gospodarcze, polityczne i narodowe stosunki, mające swe źródło w podziale. Państwa buforowe są wogóle bardzo niebezpiecznymi tworami, łatwo dostępnemi każdej ubocznej grze wpływów, jak tego w ostatnich czasach najlepiej dowodzi przykład Belgii. Dlatego należałoby i tę możliwość odrzucić" (str. 73 in.).

Możnaby podjąć polemikę z niejednym z tych argumentów. Przedewszystkiem zaś możnaby powątpiewać, czy celowem jest straszenie obcych przypuszczalną agitacyą Rosyi w przyszłem państwie polskiem. W każdym razie troskę o to należałoby zostawić innym czynnikom, zbytkiem gorliwości nie grzeszyć. Ale dzisiaj już nie jest czas najodpowiedniejszy na podejmowanie tej dyskusyi. Natomiast ciśnie się zapytanie: dlaczego instytucya, która bezwzględnie wysunęła pewien program, broniła go przez dwa lata z górą wszelkimi sposoby, nie ma odwagi wyznać, że program nie został spełniony, że wypadki poszły inną drogą? A tem bardziej jak może utrzymywać, że to właściwie wszystko dzieje się jak przewidziano, według najlepszych planów i zamiarów? Jest to dość naiwna metoda nadawania sobie pozorów powodzenia i pozorów władzy. Ludzie nawet w ciągłym wirze wydarzeń wojennyeh nie zapomną, o czem słyszeli i o czem czytali od chwili wybuchu wojny. Czasem zawodzą rachuby na krótką pamięću ogółu.

Sprawozdania.

L u d w i k K o l a n k o w s k i: *Obrona Rusi za Jagiellonów w XV i XVI w.*

(g) W księdze pamiątkowej, wydanej ku czci Bolesława Orzechowicza, jednego z tych, który czynem obywatelskim dowiódł niejednokrotnie, że czci jest godzien, znajduje się pod powyższym tytułem rozprawka młodego historyka, wkraczającego pięknem dziełem o Zygmuncie Auguście (Lwów 1913) na szerokie pole badań Rusi i Litwy — zaniedbanych u nas niemal zupełnie. Nasi starzy historycy, nawet wtedy gdy się dziejami Rusi przez całe życie nie zajmowali, piszą chętnie tomowe polityczne broszury niby z dziejów Rusi, a młodzi kręcą się w kółko koło unii Lubelskiej, jakby się lekając wkroczyć w okres kozaczyzny i hajdamaczyzny, które dla dziejów Polski mają szersze i donioślejsze znaczenie niż dłubanie w trzeciorzędnych aktach i dokumentach i prostowanie omyłek, które to rzeczy na bieg wypadków historycznyeh nie miały żadnego wpływu. P. Kolankowski już w Z y g m u n c i e A u g u ś c i e dotknął Rusi, a w rozprawce O b r o n a R u s i z a J a g i e l l o n ó w cofnął się do końca prawie XV w.

Zaznaczywszy bardzo słusznie błąd polityczny Rzpltej — brak wytrwałego dążenia do opanowania i utrzymania brzegów morza Czarnego — nie akcentuje dość silnie wpływu, jaki w tym kierunku wywarły opanowanie przez Turków Carogrodu i posuwanie się kolejno wzdłuż morza aż do Krymu. Zetknięcie się z tą nową potęgą wymagało koniecznie albo rozcięcia sporu o morze orężem, albo dobrowolnego ustąpienia. Polska i Litwa, zajęte na Północy zatargiem z Moskwą, nie mogły przerzucić swoich sił na daleki kraniec Euxynu, oddzielony od Polski i Litwy olbrzymim pasem dzikich pól. Miejsce, niezajęte przez Rzpltą, zajęli Turcy i Tatarzy — i stąd dalsze następstwa bardzo ciężkie. Z tego powodu obwiniają państwo polskie o brak obrony Rusi. Mistrz w przewracaniu polsko-ruskich stosunków i dziejów do góry nogami — na szczęście tylko w swoich publikacyach, które, pomimo dużego nakładu pracy, są tylko wielotomowymi pamfletami politycznymi, — Michajło Hruszewski postawił tezę, że Ruś była narażoną na napady Tatarów dzięki „niemądrej“ polityce Rzpltej i że nie była bronioną.

P. Kolankowski wyjaśnia tę sprawę, wskazując z jednej strony politykę Iwana III wobec Krymu, podlegającą na podjudzaniu Mongli-gireja przeciw Rzpltej i niszczeniu krajów ruskich, a w drugiej wykazuje środki i zasoby obrony,

przedsiębrane przez Rzpltą polską. Moskwa nietylko wskazywała Tatarom linię pochodu — na Kijów, Słucz, Turów, Pińsk, Mińsk, ale dziękowała za zniszczenie Kijowa. Napady tatarskie były wynikiem polityki moskiewskiej, a próby dotarcia do morza za Jagiellonów spełzły na niczem.

Spostrzegłszy niemożliwość odparcia natarczywego nieprzyjaciela od granic, Rzplta miała jeszcze dwa środki do obrony: budowę zamków i utrzymanie tam stałej załogi. Powstały też zamki: Kaniów, Czerkasy, Dźwinogród najbliżej pól tatarskich, głębiej zaś Winnica, Bracław, Kamieniec, Halicz, Śniatyn, Chmielnik, Bar, a jeszcze głębiej: Kijów, Trembowla, Lwów. Następnie, przyjmując dochód skarbu królewskiego koronnego i prywatnego w pierwszej ćwierci XVI w. na 80 — 90 tysięcy złotych i zestawiając te cyfry z rozchodem na utrzymanie stałej załogi pogranicznej w ilości około 3.000 żołnierzy, wynoszącym około 76.000 zł. rocznie, słusznie mógł powiedzieć autor, że „cyfry te są wymowniejsze nad wszelkie opisy".

Ale cyfry te bynajmniej nie rozwiązują kwestyi ani obrony ani obronności Rusi; one tylko mogą świadczyć o ofiarności Rzptej i o rozumieniu ważności zadania państwowego — obrony Rusi. Szanowny autor podzielił znaczenie militarne zamków na trzy linie, z których każda iść miała coraz głębiej. Rozejrzawszy się w topografii miejscowości obronnych od razu rzuca się w oczy nie planowość w budowie obronnych punktów, ale raczej przypadkowość. O wyborze decydowała wyłącznie obronność naturalna, położenie miejscowości. Zamki stały rzadko na przesmykach tatarskich, a najczęściej tak oddalone, że łączności strategicznej między nimi nie było prawie żadnej. Najbliższy tatarskiej drogi Zwinogród padł pierwszy i nie odbudował się na nowo. Załoga jednego zamku nie mogła pomagać drugiemu w razie potrzeby z powodu oddalenia. Moskwa broniła się lepiej, bo miała „linie" swoje podwójne i potrójne niekiedy, a blizko siebie położone „ostrożki", nawet po przerwaniu linii, pomagały sobie przy odwrocie Tatarów. U nas ruch Tatarów pomiędzy zamkami był swobodny, dopiero z powrotem trzeba ich było „gonić". Orograficzne ukształtowanie kraju — wszystkie rzeki wielkie Ukrainy Kijowskiej płynęły z północy do morza Czarnego, a pomiędzy niemi były bramy wylotowe — niczem nie zamknięte, utrudniały obronę.

Gdyby Sz. autor rozszerzył był nieco swój temat, sięgając w ostatnie lata Zygmunta Augusta i czasy Batorego, kiedy mieliśmy rewizye zamków częste i dokładne, byłby niewątpliwie spostrzegł dwa wielkie błędy w obronie Rusi: bezplanowość i przygodność w budowie punktów obronnych, jakoteż niedostateczną siłę załóg przy równie niedostatecznem „naspiżowaniu". Przytem sama budowa zamków i zameczków pozostawiała wiele do życzenia. Z tej też racyi każdy dwór szlachecki na Rusi musiał być zamkiem.

Słusznie Sz. autor wykazał cyframi, że nie polityka Rzptej w sprawie obrony Rusi była „niemądra", ale nie podniósł, że winien był system obrony, jej niedostateczność i nie do pokonania w owym czasie przeszkody topograficzne. Fakty, przytoczone przez Sz. autora są wymowne i niezaprzeczone, ale do wniosków ogólniejszej natury są tylko poważnym przyczynkiem. Uwaga ta nasuwa się bynajmniej nie w chęci robienia zarzutu Sz. autorowi rozprawy, boć niepodobna obwiniać kogoś o to, czego ktoś nie miał zamiaru zrobić.

A l e k s a n d e r S ł a p a: *Goszczyński na Podhalu.* Kartka z przeszłości Podhala i Tatr. — Kraków. Gebethner i S-ka, str. 43.

(g) Jest to broszura, obejmująca krótkie chwile pobytu Goszczyńskiego na Podhalu, napisana z wielką czcią dla poety i umiłowaniem Tatr. Całość oparł autor na D z i e n n i k u p o d r ó ż y d o T a t r ó w (Petersburg 1853) i W s p o m n i e ń, wydanych przez Z. Wasilewskiego (Lwów 1910), wyjąwszy i uwzględniwszy wszystko to, co poeta napisał o Podhalu i Tatrach. Dziś jest to już materyał uzupełniony, do pewnego stopnia usystemizowany, a nieraz i poetycznie wyzyskany (K. Tetmajer). Goszczyński zetknął się po powstaniu roku 1831/32 po raz pierwszy z Podhalem i górami, przyjechawszy do Galicyi z Józefem Tetmajerem do Mikołajowic, a później w kilka miesięcy do Łopusznej, do majątku Leona Tetmajera, brata Józefa. Przyjaźń, jaką znalazł w tej rodzinie, ciepło i serdeczność ogniska domowego dały wielkiej znękanej duszy poety ukojenie po klęskach narodowych i osobistem tułactwie. Śród pobytu w rodzinie Tetmajerów poeta przełożył P i e ś n i O s y a n a, wżywszy się w styl i ducha walk i zwycięstw klanów dalekiej Szkocyi i tu pisał także swój D z i e n n i k, pełen ciekawych spostrzeżeń o Tatrach i góralach, o języku o legendach jego, o zwyczajach i poezyi. Wszystko to co wypowiedział o Podhalu i Tatrach, możnaby nazwać próbą poetyckiej etnografii, gdyż poeta Z a m k u K a n i o w s k i e g o patrzył na kraj i ludność miejscową przeważnie z punktu wrażeń poetyckich, doznanych śród żywego zetknięcia się z ludem wiejskim. Zbójnictwo i pieśni zbójnickie, duchy, strzygi, upiory, życie pasterskie z jego prostotą — wszystko to uderzało wyobraźnię poety i skrystalizowało się w poematach K o ś c i e l i s k o i S o b ó t k i. Autor za Zawadzkim powtarza, że pobyt Goszczyńskiego w rodzinie Tetmajerów przyczynił się „do stworzenia najrozleglejszych planów". Plany takie, jak się zdaje — co do stworzenia wielkiego poematu o Polsce, — powstały jeszcze w Humaniu. Na prawdopodobieństwo tego zwrócił uwagę autor krytycznej notatki, drukowanej w S f i n k s i e, jak się zdaje, w r. 1910. Notatka ta, niestety, wydrukowaną została z tak wielkimi błędami, że wstyd tylko pismu przynosi.

Broszurka p. Słapy ma tą wartość, że ujmuje w pewną całość wszystko co Goszczyński o Podhalu i Tatrach napisał. Autor broszury zebrał to z pietyzmem dla poety i z umiłowaniem Podhala, a uzupełnił kilkoma zdjęciami fotograficznemi dworu i kościoła w Łopusznej, domku, w którym mieszkał Goszczyński, ogólnym widokiem na Łopusznę i Gorce. Przyjemne zawsze sprawia wrażenie książka, w której autor nie zadowolnił się szeregowaniem faktów, ale umiał połączyć miłość kraju ze czcią dla poety — zwłaszcza, przynoszącego w te kąty Podtatrza wielkie serce i wrażliwą na piękno duszę. Młody autor w szkicu swoim potrafił te przymioty odnaleźć i plastycznie przedstawić.

* * *

„Kant w Polsce przed 1830 r." Napisał S t e f a n H a r a s s e k. — Kraków 1916. P r a c e h i s t o r y c z n o - l i t e r a c k i e Nr. 8.

Prace filozofów polskich do bardzo niedawna nie interesowały ani wykształconego ogółu, ani nawet poszczególnych pracowników na niwie naukowej. Dopiero w ostatnich latach zyskała prawo obywatelstwa myśl, że filozofia polska, chociaż nie zaznaczyła się żadnym genialnym systemem, chociaż nie wydała ani jednego

twórcy o światowej sławie, to jednak była przejawem kultury narodowej i jej wcale poważnym czynnikiem. Lata 1911 i 1912 przyniosły dzieła Struvego i Straszewskiego — oba, niestety, o zbyt obszernym zakresie, ażeby mogły przedstawić dokładny obraz prądów panujących w nauce filozofii u nas. W 1913 r. ukazuje się pierwsza naukowo opracowana monografia Horodyskiego o Trentowskim, która wskazuje drogę jedyną, zdaniem naszem, na jakiej osiągnąć można odtworzenie filozoficznego tła kultury polskiej. Nic dziwnego, że właśnie Trentowski, najwybitniejszy przedstawiciel najwyraźniej zarysowanego u nas prądu zwrócił uwagę badaczy. Ale błędnem byłoby nie dążyć do wyjaśnienia dróg, jakiemi wkraczała filozofia nowożytna do Polski, umożliwiając później tak wybitny rozwój hegelianizmu.

Praca Harasska jest pierwszą rzetelnie naukową książką, która przedstawia koleje początkowych odgłosów nauki Kanta, a więc rysuje przed nami w jaki sposób zachowywali się uczeni nasi wobec zwrotnego punktu w nowożytnej nauce nauk. Oczywiście nietrudno odgadnąć, że musiały zetrzeć się dwa prądy: obrońców dawnych systemów z nowiniarzami, propagującymi krytycyzm i kierunki zeń wyrosłe. Szczęśliwy pomysł przedstawienia tej walki umysłowej ma szereg stron naprawdę dodatnich. Przedewszystkiem zyskuje żywość przedstawienia, oraz wyrazistość cech charakterystycznych każdego z prądów. Wreszcie, co najważniejsze, pozwala na łatwiejsze zrozumienie zasady, sformułowanej na początku niniejszej recenzyi, mianowicie wpływu filozofii na ogólny poziom umysłowości polskiej. Ujemną stroną wybranej formy można nazwać jednostronność, wynikającą z ram zakreślonych tematem, co nie pozwoliło autorowi na szersze przedstawienie wpływu innych filozofów oprócz Kanta na poszczególnych pisarzy.

Część pierwsza pracy charakteryzuje polemikę, jaką przeciw Kantowi prowadzili najpoważniejsi przedstawiciele oświecenia polskiego, a równocześnie przeciwnicy i krytycy królewskiego filozofa: Jan Śniadecki i Anioł Dowgird. Śniadeckiemu przyświecała patryotyczna myśl obrony młodzieży przed szkodliwymi pomysłami, w jakie, jak sądził, obfitowała filozofia Kanta Zatem stanowisko czysto praktyczne. Jeszcze przed zawarciem znajomości z kantyzmem Śniadecki żywił doń niechęć, którą miał zresztą do wszelkiej „metafizyki". Autor rozbiera szczegółowo rozprawy Śniadeckiego wymierzone przeciwko Kantowi, jak „o filozofii", „o metafizyce" i „Przydatek do pisma o filozofii", wywołany zresztą repliką Philopolskiego (P. Dzieduszyckiego). Śniadecki walczył z krytycyzmem z całą namiętnością, ale nie zadał mu ciosu, o jakim marzył. Spostrzeżenia wyjaśniające pobudki, jakie kierowały naszym uczonym odznaczają się spokojem i trzeźwością, czego o pracach innych autorów, dotyczących Śniadeckiego, powiedzieć nie można. O zależności argumentów Śniadeckiego do Dégéranda pisał już Adam Woroniecki, którego autor miesza z Woronieckim Edwardem.

Drugim przeciwnikiem Kanta, starającym się zwalczyć krytycyzm z powodów naukowych (nie praktycznych, jak Śniadecki) był empirysta Anioł Dowgird. Autor ma dużą zasługę, że wykazał wbrew twierdzeniom Struvego, że Dowgird kantystą nigdy nie był, a nawet przeciwnie.

Część drugą o kantystach polskich zaczyna autor krótkim rozdziałem o pierwszych tłomaczeniach i informacyach o Kancie, znanych zresztą z artykułów Struvego, Chmielowskiego i Petzolda.

Następnie przechodzi do stosunkowo szerokiego omówienia mowy Jędrzeja Śniadeckiego, którego nazywa pierwszym kantystą o tyle niesłusznie, iż ten kantystą, może pod wpływem swego brata Jana, wkrótce być przestał. Śniadecki wyraża pogląd na doświadczenie, podobny do poglądu Kanta, ale np. nie wspomina wcale o pierwiastkach a priori naszego poznania, chociaż prawdy, jak twierdzi, biorą początek u nas. Ta uwaga pozwala dopatrywać się śladów wpływu Kanta, którego wartości Śniadecki nie doceniał i był raczej przyrodnikiem, który chwytał niektóre myśli krytycyzmu, ale nie filozofem kantystą.

Takim był Józef Kalasanty Szaniawski, główny szermierz w walce z wpływami Francyi i oświeceniem. Ze względu na zakres pracy działalność tego uczonego również nie została w swej całości zbadaną. Najlepszem jest przedstawienie argumentów, jakie wytacza Szaniawski przeciw oświeceniu, argumentów niemniej gwałtownych aniżeli te, z którymi Śniadecki uderzał na Kanta, zaś nawiasem mówiąc, również niejednokrotnie niesłusznych — Szaniawski był gorącym zwolennikiem ówczesnej filozofii niemieckiej, którą uważał za ostatni wyraz umysłowego postępu. Prace jego nie odznaczają się oryginalnością i prawie wszystkie noszą cechę pedagogicznej tendencyi.

Uczyniwszy wzmiankę o kilku pisarzach powołujących się na Szaniawskiego, zatrzymuje się nieco autor przy pracy Franciszka Wigury p. t.: „Iskierka z uderzenia się umysłów pryśniona" (Warszawa 1819 r.), aby zakończyć z pracami dotyczącemi filozofii wogóle. Zdaniem naszem powinno znaleźć się tu miejsce dla rozpatrzenia wymienionej broszury z 1803 r. Hoene-Wrońskiego, który chociaż napisał ją w języku francuskim — uważany być musi zarówno z poglądów własnych, jak z pochodzenia za filozofa polskiego, o czem zapominać się nie godzi.

Logika Kanta znalazła w Polsce naśladowców w osobach Jarońskiego, Jankowskiego, Zubelewicza i Chojnackiego. Jaroński napisał swe dzieło „O filozofii", trzymając się prawie niewolniczo Wenzla: *„Elementa philosophiae methodo critica adornata"*, dzieła napisanego w duchu Kanta, a dodając, jak słusznie autor zauważa, uwagi własne w duchu Bacona. Zarówno Jaroński, jak Jankowski zwracali swą uwagę na kwestye nie stojące w ścisłym związku z logiką, dlatego tytuł części trzeciej: Logika, gdzie są rozpatrywane poglądy wymienionych autorów, nie wydaje mi się szczęśliwym.

Uwagi o wpływie praktycznej filozofii Kanta na Czackiego, Kozickiego, Jankowskiego, o którego logice mówił autor w poprzedniej części i Hubego kończą zasadniczo pracę, gdyż wzmianka o wpływie krytycyzmu na młodzież uniwersytecką jest z konieczności bardzo pobieżną.

Kończąc swą pracę, autor stwierdza, że „idea krytycyzmu" przeszła u nas wówczas bez śladu, co znowu wydaje nam się niezupełnie słusznem.

Uwagi, jakie nasunęła nam książka, możemy ująć w jedno zdanie: praca p. Harasska jest pierwszą pracą, która zakres swego tematu prawie całkowicie wyczerpuje, stosując naukową metodę i rozważny sąd, czasem jeno zbyt skrajnie ujęty. Jasność formy i potoczystość stylu umożliwia każdemu bliższe zapoznanie się z tą cenną dla historyi filozofii w Polsce książką. — *z.* —

* * *

Od p. Oskara Haleckiego otrzymujemy następujące wyjaśnienie:

W 7-mym numerze „Roku polskiego“ ukazało się sprawozdanie z mej broszury p. t.: „*Das Nationalitätenproblem im alten Polen*“, podpisane literami *A. W.* Pochlebne słowa o moich kwalifikacyach historycznych i rzeczowej stronie pracy nie mogą mi wynagrodzić dotkliwego zarzutu, jaki mi zrobił autor recenzyi, przypisując mi, wbrew moim istotnym przekonaniom a nawet wbrew idei przewodniej omawianej rozprawy, „niedocenianie etycznej strony życia narodowego i wypływających z niego obowiązków“. Tak ciężkiego oskarżenia nie mogę pozostawić bez odpowiedzi.

Już we wstępie broszury podniosłym z całym naciskiem decydującą ważność, jaką w omawianym przedmiocie przypisuję momentowi etycznemu („*das Recht, das doch bei derbei Fragen das einzig entscheidende Moment sein sollte*“). Pan A. W. (s. 10/11) wyczytał jednak z tego ustępu coś przeciwnego. Ponieważ wymieniłem obok siebie stronę etyczną i stronę naukową problemu, myśląc przy drugiej naturalnie o stronie fachowej, — a więc w prasie z zakresu historyi — historycznej, autor recenzyi wyciągnął stąd wniosek, jakobym zaprzeczał etyce charakteru naukowego! Być może, że wyraziłem się nieściśle, że zamiast „*wissenschaftlich*“ lepiej było napisać „*fachwissenschaftlich*“. Ale nie mogłem przecież przypuścić, że ktoś na podstawie tych dwóch słów, w toku rozumowania zupełnie jasnych, zarzuci mi coś podobnego, jak zaprzeczenie charakteru naukowego jednemu z najważniejszych działów filozofii.

Dzisiejszego nacyonalizmu nie wyprowadzałem wcale z Rewolucyi francuskiej. Wskazałem tylko, jako jeden z czynników, który go wytworzył, demokratyzacyę społeczeństwa, o której dodałem mimochodem, że rozpoczęła się z Rewolucyą. Ale mniejsza o to. Pan A. W. miał prawo moją teoryę o genezie nacyonalizmu poddać krytyce rzeczowej, chociażby najsurowszej. Czemuż jednak tłómaczy ją czytelnikowi w sposób, mogący mnie narazić na posądzenie, że lekceważę etykę w życiu narodowem?

Jak wysoko ją stawiam w stosunkach narodowościowych i w historyi wogóle, temu także w omawianej pracy dawałem wyraz niedwuznaczny. Wszak recenzent mógł wyczytać w ostatnim rozdziale (s. 97), że stanowczo potępiam pogląd, jakoby „w polityce, w życiu społeczeństw, narodów i państw tylko brutalna siła prowadziła do celu“, nie zaś „działanie wyższych momentów“, oczywiście etycznych („dróg słuszności, pokojowego współdziałania i pracy kulturalnej“). Trudno też o wyraźniejsze zaznaczenie etycznego światopoglądu, jak w końcowej uwadze (s. 103), że my Polacy swe aspiracye nie opieramy na ufności „*auf die rohe Gewalt, sondern auf das Walten Gottes*“ i nasze zasługi cywilizacyjne.

Ale Pan A. W. potępia mię za to, że zamiast obowiązków narodowych omawiam i określam tylko uczucia narodowe. Ależ zadaniem mej pracy nie była analiza, jakie obowiązki miały różne narody zamieszkujące dawną Polskę, tylko odparcie zarzutów, jakoby ta Polska i jej idea państwowa zadawała gwałt ich narodowościowym uczuciom. Stąd poddałem analizie ich „*Nationalitätsbewusstsein*“ (s. 27 mr.), określając nawet nie tyle ich uczucia, co uświadomienie narodowe. Jakie z niego wypływają obowiązki, to z moim tematem absolutnie się nie łączyło. Istnienie obowiązków narodowych

rozumie się dla mnie samo przez się, a rozwodzić się nad tem, odbiegając daleko od treści broszury, nie widziałem potrzeby. Zdawało mi się, że własnym swym obowiązkom wobec narodu lepiej zadość uczynię, oddając w miarą sił i sposobności pewien zasób swych wiadomości fachowych w usługi Jego sprawy.

Czyniąc to, byłem przygotowany na zarzuty z najrozmaitszych stron, wrogich polskości. Mam na nie odpowiedź gotową w materyale źródłowym, z którego wysnułem swe twierdzenia. Niestety jednak widzę, że i własnych rodaków nie zdołałem zadowolnić. Nie moją rzeczą sądzić, czy moja praca pożytek przynieść może; o to jednak jestem spokojny, że nie przyniesie tej s z k o d y, jakiej się po niej obawia mój recenzent. Słyszałem od niemieckich czytelników, że przedstawiłem Polaków w zbyt dodatniem świetle; Polak oskarża mnie, że utrwalam Niemców w opinii, jakobyśmy byli *„eine minderwertige Nation“!* Zarzut to dla mnie równie nieoczekiwany, jak niezasłużony.

Wreszcie jeszcze jedno. Nie jestem ani politykiem ani publicystą. Stąd nie zajmuję się „informowaniem publiki niemieckiej o naszych n a s t r o j a c h“, tylko bronię wobec niej tradycyi dawnej Polski, co określiłem w mej pracy, jako „poważny o b o w i ą z e k dla każdego historyka polskiego“ (s. 12), za jeden z e t y c z n y c h obowiązków n a r o d o w y c h, które i ja — wbrew wszelkim powątpiewaniom — stawiam bardzo wysoko.

O. Halecki.

Od Redakcyi.

Żałobna wieść o zgonie ś. p. Henryka Sienkiewicza doszła nas w chwili, gdy przeważna część obecnego numeru była już złożona. Dlatego też nie mogliśmy już w tym numerze zamieścić obszerniejszego wspomnienia pośmiertnego, poświęconego pamięci H. Sienkiewicza, pióra prof. Ignacego Chrzanowskiego. Ukaże się ono w numerze grudniowym. W tym numerze zamieszczamy tylko list Zmarłego w sprawie szkoły polskiej.

Rzeczy nadesłane do Redakcyi.

M. Albiński i H. Juszkiewicz, *Narodzie, wróżę, zmartwychwstaniesz.* Stanisław Wyspiański o nocy niewoli i o wstającym dniu jedności narodowej. Kraków 1916.

Kozienice. Grupa legionów polskich pułkownika Zielińskiego. Rys. W. J. Gutowski, Lwów 1916.

Edward Ligocki, *Laguna morta.* Powieść nagrodzona na konkursie „Bluszczu". Warszawa—Kraków 1916.

Dr. Roman Rybarski, *Prawno-skarbowe podstawy ustroju państw związkowych, unii i autonomii państwowych.* Warszawa 1916.

Adam Skałkowski, *Oficerowie polscy stu dni.* Przedruk z „Kwartalnika historycznego", 1915.

Dr. Ignacy Weinfeld, *Opodatkowanie spirytusu w Austryi i w Niemczech.* We Lwowie 1916.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska 13
pod zarządem A. Szyjewskiego.